

# DZIS: JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 5 marzec 1950 r.

Nr 9 (223)

**TREŚĆ NUMERU:** Andrzej Łepkowski — Gdyńska wiosna; Karol Ford — Filmy z życia Chrystusa, tłum. Z. Jakimiak; Wojciech Kętrzyński — De Gasperi — „felix culpa“?; Michał Emiescu — Wiersze, tłum. K. Hłakowiczówna; Nekrologia paryska; Jan Józef Szczepański — Różdżkarz; Jan Czekanowski — Ze wspomnień afrykańskich; Z teki recenzenta; Zygmunt Lichniak — O człowieku, który kupował ludzkie mózgi, czyli ganglion doktora Jarosławskiego; Ze starych ksiąg — Wymiana zdań, podał do druku B. M. Długoszewski; Tydzień kulturalny: Leszcz — 30-lecie kinematografii radzieckiej; Festiwalowe refleksje; Z. K. — Co piszą inni...; Czytelnik uważa, że...

Paweł Jasienica

# SKALA HISTORII

W ostatnich czasach wystąpił u nas na plan pierwszy problem uregulowania stosunków między Kościołem a Państwem.

Jest obowiązkiem Polaków starać się, by ta sprawa nie stała na „ostrzu noża“. Dlatego, że wszelka gonitwa na ostre powoduje kosztą. Kosztów tych nie pokryje za nas nikt. Za wszystko zapłacą Polacy. Jedynie, tylko i wyłącznie Polacy.

Autor od razu chce wyznać iż pisząc ten artykuł, bierze pod uwagę przede wszystkim dobro własnego kraju. Które to dobro wcale nie jest sprzeczne z ponadczasowymi zadaniami Kościoła.

Historia potoczyła się takimi kolejami, że Warszawa stała się znacznie lepszym punktem obserwacyjnym niż niejedna arcybiskupia zachodniej Europy i wskutek tego u nas dostrzega się już wyraźnie to, czego gdzie indziej zobaczyć jeszcze nie mogą.

Porozumienie, o którym była mowa nie nastąpi jeżeli nie zostaną przyjęte dwie tezy.

Pierwsza głosi, że Kościół musi pozostać — Kościołem. Zaden polityk z prawdziwego zdarzenia nie powinien rachować na żadne namiastki, ersatze „kościół narodowe“ itp. (na szczęście na to wygląda, że nikomu poważnemu tego rodzaju pomysły po głowie się nie snują).

Druga teza — uznanie za nieodwracalne i historycznie konieczne tych wszystkich zmian, które w politycznym, społecznym i gospodarczym życiu kraju nastąpiły po wojnie. Jedną jest na świecie Polska — ta położona pomiędzy Odrą a Bugiem, ze stolicą w Warszawie. Państwo to w obecnej fazie historii nosi miano Polski Ludowej. Inaczej być nie może. I to trzeba uznać.

Pomiędzy tymi dwoma koniecznościami leży problem uregulowania stosunków Kościoła z państwem. Biorąc rzecz od strony praktyki — przed katolicyzmem stoi zadanie znalezienia nowych metod działania.

A teraz — próbujemy obejrzeć się wstecz na owe bez mała dwa tysiące lat historii Kościoła. Naprawdę — polityczne, społeczne, gospodarcze a także i kulturalne formy życia, jakie panowały za dni Konstantyna Wielkiego, mało są podobne do obyczajów epoki króla Fran-

ków Chlodwiga, czy też do „apostolskich“ rządów Franciszka Józefa I. Prawdę powiedziawszy to w starożytności nawet po łacinie mówiono w sposób odmienny od tego, który obowiązywał w c. k. gimnazjach. Cóż dopiero mówić o ustrojach państw i społeczeństw. Wcale nie o to chodzi, by je liczyć, czy też popadać w zadumę nad znikomością mocy doczesnych. Dla tych, którzy chcą wpływać na bieg spraw ziemskich, doczesnych właśnie — co innego jest ważne. To mianowicie, że katolicyzm w takiej Francji znajdował sobie możliwość działania zarówno w centralistycznej, biurokratycznej i ateistycznej Trzeciej Republice jak i w monarchii Ludwików, kiedy to — na mocy ustaw uważanych za niewzruszalne i święte — okręty królewskie nie do wszystkich bynajmniej portów państwa miały prawo zawijać. Ta sama Nauka głoszona była w arcykatolickiej Hiszpanii Ferdynanda i w Chinach cesarskich — jeżeli już komu zależy na jaskrawych kontrastach. A przecież osiedlając się pod Pekinem misjonarze wcale nie twierdzili, że muszą koniecznie przeinaczyć tamtejszy ustrój i obalić np. władzę mandarynów.

Wszystko to są rzeczy znane i łatwo się o nich przekonać, zajrzawszy do pierwszych lepszych opracowań historycznych. Niemniej jednak istnieją pewne okoliczności sprawiające, że nam w Polsce dosyć jest trudno ocenić i uznać niewątpliwy fakt zmienności form życia narodów. Omijały nas bowiem wielkie przewroty wstrząsające innymi polaciami Europy. Zналиśmy dobrze atmosferę narodowych powstań, ale słabe mieliśmy pojęcie o tym, co to jest przewrót socjalny. Skutki Wielkiej Rewolucji francuskiej przeżywalimy wprawdzie bezpośrednio na własnej ziemi, ale to już były jej utemperowane, zlagodzone, napoleońskie formy. Wielki cesarz reformował — owszem — ale niczego nie przewracał na nice i dla rządów swych szukał podpory wśród filarów dawnego porządku. A i to jeszcze wielu Polaków, stroniąc od nowatorstwa, wolało stanowczo cara Aleksandra.

Zresztą inne kraje i bez rewolucyj nawet przechodziły czasami okresy wielkiej przebudowy. Nam tego dzieje oszczędzi-

ły — zresztą na nasze nieszczęście — wskutek czego tradycyjnie przywykliśmy do zastój bezruchu, sielskiej i sennej atmosfery zaścianka. Najstarańniej stroniąc od chęci prawienia komukolwiek komplementów całkiem obiektywnie stwierdzić wypadnie, że obecny okres wielkich przemian natury społeczno-gospodarczej jest pierwszym, który się u nas zdarzył od czasów Kazimierza Wielkiego. Bo najstarsza polska dynastia umiała radykalnie warunki bytowania kraju przeinaczać. A później było już spokojnie. Jeżeli zaś nawet zmieniano się cokolwiek to w ileż łagodniejszy sposób niż to się działo u sąsiadów. Stąd — jak sądzę — ów typowo polski tradycjonalizm i brak relatywizmu w ocenie zmienności form procesu dziejowego. Jeszcze niedawno temu głoszono u nas, że przeprowadzenie reformy rolnej zniszczy podstawy społeczeństwa. Reformy dokonano i społeczeństwo się jakoś nie rozprężyło.

Obawiam się poważnie, że stare przyzwyczajenia mogą nam i dziś przeszkodzić w słusznej ocenie przemian, dziejących się obecnie w skali światowej.

Powyżej nieco pisałem o historycznej konieczności procesu przeżywanego dziś przez Polskę. Co to znaczy? To znaczy, że nie jesteśmy żadnym wyjątkiem, a Polska w niczym nie przypomina samotnej wyspy, na której straszy, podczas gdy reszta globu zażywa błogiej szczęśliwości. Radykalne, niewidziane dawniej reformy nie dlatego się u nas dzieją, iż kilkunastu panom, zamieszkałym w Warszawie i paradującym z tekami ministrów zamarzyła się raptem „radosna twórczość“. To tak wcale nie jest.

Przypisywanie wszystkiego zwycięstwu odniesionemu w wojnie przez Rosję jest też grubym upraszczaniem sprawy. Tryumf ZSRR ma oczywiście znaczenie bardzo wielkie, ale bynajmniej nie jedyne. Nie warto rozważać co by było gdyby Roosevelt to, a Churchill tamto zrobił, gdyby inwazja przez Bałkany... Gdyby inwazja poszła przez Bałkany to najprawdopodobniej mielibyśmy dziś w kraju ten stan rzeczy, jaki panuje w Vietnamie, czy Indonezji, to znaczy wojnę domową ze wszystkimi

jej konsekwencjami, a już co najmniej ostre walki klasowe. Bo prąd rewolucji socjalistycznej jest — jak na tym samym miejscu dawno temu już pisałem — siłą wzdymającą dziś powierzchnię globu ziemskiego. Całego globu. Świat zmienia skórę, a ta, która narasta ma barwę czerwoną. Takich rzeczy nie zahamują żadne inwazje przez Bałkany ani też tętent całego tabunu białych koni na trzecim moście.

Niczego tutaj nie wymyślam ani nie komponuję. Powołuję się na fakty. Rozejrzyjmy się po świecie, czyli — mówiąc prościej — przypomnijmy sobie de pesze z dzienników. Co oznacza piorunujące zwycięstwo komunistów w Chinach? Kuomintang miał przecież pomoc Ameryki. Tylko, że przy Czang Kai Sze-ku zgromadzili się sami aferzyści, złodzieje i kombinatorzy, którzy rozkradli waszyngtońskie miliardy — a wszystko, co uczciwe poszło do komunistów. Lepszy wygrał. Idźmy dalej: zawarty niedawno układ chińsko-radziecki po prostu zmienia układ sił na świecie. Powstał sprzymierzony blok siedmiuset milionów ludzi, do którego grawitują jeszcze i Indie, jeszcze Indochiny tudzież Indonezja. Doliczmy jeszcze kraje demokracji ludowej, porachujmy wszystkich nędzarzy w koloniach, dla których komunizm oznacza ulgę i wyzwolenie — weźmy pod uwagę komunistów w zachodniej Europie oraz na zachodniej półkuli, nie zapominajmy też o miążdzącej przewadze intelektualnej jaką posiadają politycy z Kremla nad tymi z Waszyngtonu — a otrzymamy zgrubsza naszkicowany obraz świata w Roku Pańskim 1950. Niech mi wolno będzie raz jeszcze zwrócić uwagę na to, iż strzegłem się teoretyzowania, powołując się nieustannie na fakty.

Jeżeli można w ogóle przewidywać, to z obrachunku wypadnie, że przyszłość świata należy do socjalizmu. Polska racja stanu powiada, że im prędzej to się stanie, tym dla nas lepiej.

A z punktu widzenia człowieka wierzącego chrześcijanina, katolika? Moim zdaniem (bo nie mam prawa przemawiać w naszym imieniu) powinno się mieć jedno tylko życzenie: by ten przyszły socjalistyczny

świat przyjął wiarę Chrystusa. Tę tezę można postawić całkiem spokojnie i bez żadnej egzaltacji. Przecież św. Paweł miał w stosunku do imperium rzymskiego bez porównania mniejsze szanse.

Gdybym chociaż przez jedną chwilę przypuścił, że jakiegokolwiek zmiany form życia mogą zwyciężyć i zniweczyć Naukę Chrystusa — gdybym, powtarzam, chociaż przez jedną minutę tak myślał — utraciłbym prawo do nazwy chrześcijanina.

\*\*

Pisząc o możliwościach znalezienia dla katolicyzmu sposobów działania w socjalistycznym świecie, nie wolno zapominać o istniejących obustronnych trudnościach. Po jednej stronie, tej, która zwycięża w drodze rewolucji, będzie to wynikało właśnie z rewolucyjnego rozpadu, który sprawia, że tzw. białe rękawiczki stają się przedmiotem dość rzadko używanym. W miarę upływu czasu obyczaje zazwyczaj jednak łagodnieją wyraźnie. Inna rzecz, znacznie bardziej zasadniczej natury, to rewolucyjna doktryna i filozofia. Trudno na przykład oczekiwać od marksistów, by zaprzestali głoszenia zasad materialistycznego światopoglądu. Oni tego nigdy nie zrobią. To oczywiste i dlatego w dziedzinie światopoglądowej nikt o kompromisie nawet nie marzy. Żadne porozumienie nie może oznaczać rezygnacji z ideologicznych odrębności.

Po drugiej stronie, czyli po stronie Kościoła (a mówiąc ściślej — duchowieństwa) rzeczą całkiem realną jest pewien konserwatyzm, polegający na nadmiernym związaniu się z ustrojem, wśród którego się żyło i działało. Zjawisko to raz już bardzo jaskrawo wystąpiło. Rzecz się działa w drugiej połowie 18 stulecia.

Był to okres ogromnych i płodnych przeobrażeń struktury życia Europy. Reformatorski rozpęd nie oszczędził też wielu odwiecznych, niezmiernie ważnych obwarowanych prawem kanonicznym przywilejów Kościoła. Ten i ów porywał się nawet na niedopuszczalne wtrącanie się do takich rzeczy, których dzisiaj nie ośmieli się ruszyć żaden człowiek świecki. A działalnością tego rodzaju zajmował się „apostolski“ władca

katolickiej Austrii — Józef II, minister „prawowiernego” króla Portugalii Sebastian Józef de Carvalho, margrabia Pomal, ministrowie arcykatolickie go króla Hiszpanii Esquilache, Campomanes i Aranda, tudzież Stefan Franciszek książę de Choiseul minister arcychrześcijańskiego króla Francji (państw pomniejszych, jak np. włoskich, wymienić nie będziemy). Dopóki zajadłe, a wywodzące się z filozofii wieku oświecenia reformatorstwo uprawiane było w ramach „starego porządku” przez wyżej wymienione wysoko postawione osoby — nie doszło do zbyt ostrych konfliktów i każde, najbardziej nawet brutalne posunięcie dawało się jakoś załagodzić. By pohamować Józefa II w jego nadmiernej zaiste zapędach (cesarz mieszał się nawet do spraw nabożeństw, za co go stary cynik i deprawator Fryderyk II nazwał „cesarzem - zakrystianem”), papież Pius VI wybrał się osobiście do Wiednia. Monarcha przyjął Ojca św. grzecznie, ale kwatery jego obstarwił wojskiem, a po wyjeździe papieża natychmiast skasował klasztor, który mu służył za mieszkanie. Pomimo wszystko stosunki ze Stolicą Apostolską układały się jakoś pokojowo.

Inaczej się stało, kiedy w tym samym czasie i za rządów tegoż Piusa VI wybuchła Wielka Rewolucja Francuska, której filozoficzny rodowód był właściwie ten sam, co i w wypadku reform „oświeconych” monarchów. Uchwały Zgromadzenia Narodowego w sprawach kościelnych były bardzo radykalne. Ale zasadniczo nie przekraczały tego, co już i poprzednio „duch czasu” w wielu krajach spowodował. Możliwość kompromisu były. Najpoważniejsi członkowie francuskiego episkopatu zabiegali w Rzymie o zgodę na układ. Znaczna część kleru stała po stronie rewolucji. 13.IV 1790 roku zapadła uchwała o tym, że „przywiązanie Zgromadzenia Narodowego do kultu apostolskiego, katolickiego i rzymskiego nie może być podawane w wątpliwość”. Do kompromisu nie doszło. Władzom rewolucyjnym nie udało się to, co przedtem uchodziło monarchom. We Francji rozpoczęły się długie, niezmiernie męczące i wielkie szkody przynoszące walki na tle religijnym. A właściwie

— z perspektywy lat stu kilkudziesięciu widać to już bardzo wyraźnie — była to walka przeciwko ugruntowaniu się tego właśnie ustroju, którego dzisiaj sfery zachowawcze bardzo uparcie bronią. Przeciwno mieszczańskiej republice parlamentarnej.

Ta przydługa dygresja natury historycznej wydawała mi się potrzebna. Grzebanie się w annałach przeszłości jest to ostatecznie jedyny sposób podbudowywania też politycznych w drodze doświadczenia.

\*\*

Pora powrócić do spraw polskich i poszukać w nich pewnych faktów, pewnych niesłychanie charakterystycznych zjawisk, które zresztą zauważył łatwo najbardziej nawet powierzchowny obserwator. O to tylko chodzi, by fakty te zestawić i pokusić się o konkretne wnioski.

Gdziekolwiek jest w kraju zawędruje — wszędzie zobaczyć można jedno i to samo: przepelnione kościoły. Wioska, małe miasteczko, Śląsk czy Warszawa — jednaki tłum wypełnia nawy, tłoczy się w kruszcu i zalega schody zewnętrzne.

I inną jeszcze rzecz łatwo w kraju zaobserwować. Naprawdę ogromny, niebywały dawniej, podziwu godny rozmach pracy. Nie tylko przy odbudowie, stwarzaniu rzeczy nowych, takich, jakich dawniej nie mieliśmy. Ten rozmiar i waga już spełnionych dokonań tak są wielkie, że zdążyliśmy nawet potrosze zubożyć i wcale nas nie zastanawiają rzeczy prawdziwie zastanowienia warte. Czasem tylko człowiek odzyska właściwe poczucie miary i pomyśli sobie, co właściwie oznacza całkowite uruchomienie gospodarki, komunikacji i w ogóle życia w północnych i zachodnich województwach kraju. Taki właśnie moment nagłego opamiętania przyszedł na mnie niedawno w Warszawie, wieczorem, na Nowym Świecie. Po prostu uświadomiłem sobie raptem, że wcale nie pamiętam jak tu wszystko wyglądało dwa lata temu. I że nie już tam dawnego stanu rzeczy właściwie nie przypomina. Dwa lata. A dla całego kraju — miara niepełnych lat pięciu.

Wobec tego próbujemy zestawiać kraj katolicki — milionowe masy żarliwie wierzą, chodzą do kościołów, praktykują. To jedno. Kraj zrujnowany jak żaden inny — odbudowuje się w tempie niezwykłym — obywatele jego pracują niezmiernie ofiarnie i wytrwale. Mnie się zdaje, że wniosek z tego zestawienia wynika całkiem prosty. Bez pracy katolickich mas nie byłoby tych rezultatów, czyli, że te masy potrafią jakoś gościć jedno z drugim — katolicyzm z ofiarnym i patriotycznym udziałem w socjalistycznym budownictwie. Bo przecież państwo, którego są obywatelami jest państwem socjalistycznym.

Można sobie dla uciechy opowiadać dykteryjki o panu, który nie klęka podczas Podniesienia bo jest ateuszem, a do kościoła chodzi, bo jest przeciwko rządowi. W rzeczywistości jednak systematycznie bywa w kościele tylko ten, kto chce się modlić i żyć bez Boga nie pragnie. Pracuje zaś z samozaparciem tylko ten, kto wobec swojego państwa nastrojony jest lojalnie. Takich zaś, którzy czynią zadość i pierwszemu i drugiemu

warunkowi jest w Polsce znakomita większość.

Podróżowałem kiedyś wespół z całą ekipą wojskowych, kierowaną przez oficera. Wieźli ze sobą kupę papierów. Była to najwidoczniej komisja poborowa dla młodego rocznika rekrutów. Wysiedliśmy wieczorem w małym miasteczku. Nazajutrz na porannej Mszy św. spotkałem znowu tego oficera. Klęczał na widocznym miejscu i modlił się.

Skoro człowiek jest oficerem i w dodatku powierzają mu odpowiedzialne funkcje natury organizacyjnej to znaczy, że jego lojalność jest niewątpliwa. A do kościoła jawnie chodzi. Takich wypadków jest w Polsce bardzo dużo. Z tego wszystkiego trzeba wyciągnąć odpowiednie wnioski.

\*\*

Godzenie katolicyzmu ze zdecydowaną nawet lewicowością jest zjawiskiem występującym nie tylko w Polsce. Niemieckie wydawnictwo „Das katolische Jahrbuch” (Verlag Kempfer, Heidelberg-Weibstadt 1949) podało bardzo ciekawą statystykę odnoszącą się do Włoch.

W Italii jest katolików 45.349.221, protestantów — 91.053, Żydów wyznania mojżeszowego 54.632, bezwyznaniowych — 12.211 (uwaga: obecność w statystyce rubryki „bez wyznaniowi” świadczy o swobodzie określania przynależności religijnej). Razem więc niekatolików jest we Włoszech 157.896. A Komunistyczna Partia Włoch liczy sobie dwa (niektórzy nawet mówią, siedem) milionów członków! Czyli, że na pytanie: z kogo składa się Komunistyczna Partia Włoch — należy udzielić następującej odpowiedzi: „w ogromnej większości z katolików”.

Tak to tu i ówdzie wygląda za „żelazną kurtyną”.

\*\*

Oryginalność obecnej fazy dziejów Polski nie tylko na tym polega, iż przeżywamy okres wielkich przemian i to w dodatku tych samych, jakim ulegają kraje bardzo egzotyczne, np. Chiny. Aż dotąd tak zawsze bywało, iż metamorfozy oraz wstrząsy, którym ulegał świat katolicki myślimy odczuwali jeśli nawet nie jako ostatni, to w każdym razie jako jedni z ostatnich. Walki o reformy kluniackie, herezję zachodu, reformacja — to wszystko, co istną burzą przelewało się po brzegach Renu czy Sekwany, do nas docierało w formie już gotowej, osłabionej, często całkiem nijakiej. Żaden Luter nie przybijał u nas na bramie kościelnej swoich tez — ale też żaden św. Franciszek nie wygłaszał tu swych kazań.

Zmieniło się. Popłynęło w drugą stronę. Myślimy pierwsi z katolickiego świata znaleźli się w kręgu przemian, które nadeszły od wschodu. To zasadniczo zmieniła sytuację. Ogromnie podnosi znaczenie tego, co się dzieje w życiu katolickim Polski. Ale też nakłada ciężkie obowiązki i stawia przed nami problem odpowiedzialności. Bo w znacznej mierze od nas zależy jak się ułoży współzycie pomiędzy katolicyzmem a nowym rzeczą porządkiem.

I wydaje mi się, że jakiegokolwiek konflikty wynikłe z tradycjonalizmu, chęci utrzymania przy życiu tych form bytowania, które zasuwały się w cień nie są tym, czego od nas wymaga chwila dziejowa.

Paweł Jasienica



Andrzej Łepkowski

## Gdyńska wiosna

POWIEŚĆ.

Wiatr nadął ulicę aż do bólu  
— Pękła...!  
Ściany podmuchu uderzają o siebie  
p'asko, jak dłonie.  
(Oparty o twardą próżnię,  
czekam na oddech).  
W zaworach przecznicy  
koziółkuje kurz.  
Na placu jasność kamienia  
oszlifowana brzękiem szyb.  
Krok...  
Za węglem ocalały słup pionu.  
Jestem jak w kinie —  
Śmieszni ludzie  
podnoszą ręce ku włosom  
i kłaniają się domom.  
Brazowy kapelusz  
otokiem prześcignął samochód.

II.

PORT.

Był niebieskawy półmrok  
zapleciony w pasma.  
W porcie —  
rozsypany zgrzyt kół.  
Na betonowych groblach  
dźwigi się pasty  
jak żelazne centaury  
na kamiennej polanie.  
Miasto wybuchło iskrami,  
— Znieruchomiły:  
Stały żuźle okien,  
(nad wodą - podwójne)  
Sycząc, tonęły.  
Para szła jak z kuźni,  
gdy hartują obręcze  
tłoczone na koła.  
Wzgórze weszło w ulice  
stopami odwilży.  
Księżyc frunął od brzegu  
najbliższej kałuży.  
Przedwiośnie wypłynęło  
na północny półow,  
gdzie wielki węgorz mruży  
złote oko Helu.

III.

WIDOK Z KAMIENNEJ GÓRY.

W kwietniu, na urwiskach  
porośniętych podbiałem,  
wytrwale słońce zmywa  
szare ślady zimy.  
Morze wzniosło się chłodem,  
W szorstkim tynku fali,  
sterczą ówieki okrętów  
i żagle — jak mika.  
Po cienkich prętach ivity  
przeszło południe.  
Drzewko rozgorzało  
jak Krzew Mojżeszowy.  
W spopielonych gałązkach  
świegotały wróble  
z płomiennymi skrzydłami.  
— Wiatr podsyczał pióra.  
Bielizna żeglowała  
przez podwórza.  
Pod topolami cegła  
Krwawiła się jasno.  
— I zobaczyłem Gdyńnię...  
Między lasem uwiązł  
pocięty blok piaskowca  
ustawiony w miasto.

Sp. wyd. „Pax”, Inst. Wyd. wysyła

G. BERNANOS  
POD SŁOŃCEM  
SZATANA

cena 950 zł

B. MARSHALL  
CHWAŁA CORY  
KRÓLEWSKIEJ

cena 750 zł

TEKĘ DRZEWORYTÓW  
„OJCZE NASZ”

K. WRÓBLEWSKIEJ

cena 1200 zł

Po wpłacie na KONTO PKO  
I-8515

SP. WYD. „PAX” INST. WYD.

Karol Ford\*)

Tłum. Z. Jakimiak

# Filmy z życia Chrystusa

Niezmiernie charakterystyczny dla dzisiejszej, tak niby z jednej strony obojętnej religijnie epoki, jest fakt, że od czasu istnienia filmu nie było w nim tylu i tak wielkich dzieł, natchnionych przez religię. Prawie światowe powodzenie „Pana Wincentego“ (film o św. Wincentym à Paulo), na pozór zadziwiające, jest zrozumiałe przy bliższym zbadaniu. Z dru-



Anonimowy odtwórca postaci Chrystusa „W Boskiej Tragedii“ Abel Gance'a

giej strony, Z los Angeles donoszą o nadzwyczajnym powodzeniu, jakie spotkało dźwiękową wersję sławnego filmu Cecila B. de Mille'a „Król Królów“. Wreszcie we Francji, po „Panie Wincentym“, po „Doktorze Laennec“, po „Niebieskim Czarowniku“, po „Doktorze Ludwiku“, Abel Gance, najpoważniejszy reżyser obecnie, przygotowuje „Boską Tragedię“.

W taki sposób, po pięćdziesięciu latach istnienia, film podejmuje znowu najbardziej wzniosły temat z historii świata. Ten temat, jak zresztą wiele innych, jest ściśle złączony z czterema wielkimi okresami historii filmu. Życie Chrystusa przenoszone było na ekran wielokrotnie, najpierw w pierwotnych chwilach filmu niemego, potem w okresie dojrzałości kina niemego, wiele razy również w początkach filmu mówionego. Dziś, w końcu przedmiot ten znowu jest podjęty. We wszystkich czasach sztuki znajdowały natchnienie w religijnych wierzeniach, już w swych prymitywnych przejawach. Kino nie było wyjątkiem od tej zasady i od swych urodzin zwróciło się do Religii. We Francji, kolebce filmu, we Włoszech i Stanach Zjednoczonych, krajach, które najpierw, obok ojczysty kina, rozwinęły wielką twórczość, Męka Chrystusa była jednym z tematów najszybciej przeniesionych na ekran. Twierdzenie, że pierwsze próby tego rodzaju były osiągnięciami artystycznymi, byłoby oczywiście niezgodne z prawdą, jednakże powstanie tych filmów odbyło się zgodnie z prawami świata. Jedną z pierwszych technicznych prób Jerzego Méliésa była realizacja „Chrystusa chodzącego po falach“ a ponieważ w tym czasie współzawodnictwo między twór-

cami filmów było gwałtowne, więc ta pierwsza taśma Méliésa wywołała natychmiast realizację dwóch poważniejszych filmów, nakręconych u Pathe przez Ferdynanda Zecca: „Mękę Chrystusa“ i „Życie Jezusa“. Pomimo mało starannego wykonania technicznego, taśmy te bardzo się podobały i ze zdziwieniem dowiadujemy się, że powstały one przecież w 1902 roku. Prawda, że w zadziwiający sposób utożsamiają się one z obrazami, jakie o boskich Osobach wyrobić sobie mogą widzowie z ludu. W kilka lat po filmach Zecci, Armand Bour nakręcił w Films d' Art „Pocałunek Judasza“, w którym wystąpili najwięksi aktorzy epoki. Albert Lambert, (Chrystus), oraz Mounet-Sully (Judasz). W filmie tym, rolę świętego Jana grał młodziutki aktor, Albert Dieudonné, który później miał odtwarzać „Napoleona“ Abła Gance'a.

Równoległe do tych pierwszych objawów we Francji, następowały podobne i we Włoszech. Ludwik Topi, właściciel jednej z pierwszych w Rzymie sal pokazów kinematograficznych, nie dopuścił, by Boże Narodzenie i Nowy Rok 1897 minęły bez „Męki Jezusa“. Do tego celu zaangażował on kuglarza nazwiskiem Fremio, rywal sławnego Fregoli. Byłoby naiwnością i próżnością ukrywać fakt, że przyczyną tej twórczości był w większym stopniu wzgląd na interesy materialne, niż na korzyści duchowe. Jednakże to, że Ludwik Topi, sprytny kupiec, powierzył Fremiowi zadanie odtworzenia Chrystusa, a nie kogo innego, dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że publiczność czuje nieodparty pociąg do tego rodzaju widowiska. Nieświadomie, być może, tłumy — a nie tylko tłumy włoskie, ale całego chrześcijańskiego świata — zostały pociągnięte na te nowe widowiska, które pozwalały im skonkretyzować abstrakcyjne pojęcia o Boskości. „Męka Jezusa“ Topiego był to tyłko szereg ruchomych fotografii, natomiast „Chrystus“, nakręcony w kilka lat później, był prawdziwym filmem. Obszedł on zresztą cały świat. Oparty na scenariuszu Fausta Salvatori, zrealizowany przez Józefa de Liguro i Juliusza Antamoro, „Chrystus“ należy do grupy wielkich filmów, które przez kilka lat robiły złudzenie i pozwalały wierzyć we włoską sztukę filmową. Tymczasem twory te, obciążone ogromną liczbą statystów i operowych dekoracji, posiadały wszystko, czego w owym czasie było potrzeba, żeby wywrzeć wrażenie na tłumach ludu. Wszelako strzeżmy się zbyt surowego sądu wobec tego rodzaju filmów, tym bardziej, że intencje ich były czyste i że zwłaszcza „Chrystus“ miał doskonałych wykonawców. Alber Pasquali uosabiał Chrystusa, Leda Gys była Marią Magdaleną, a wielki Amleto Novelli rysował niezapomnianą postać Piłata Ponckiego.

Nikt się nie zdziwi, jeśli powiemy, że tylko w Stanach Zjednoczonych — przynajmniej w tej epoce prymitywnej historii filmu — spotykamy produkcję religijną, opartą całkowicie na kupieckim wyrachowaniu. Jak we Francji, tak i we Włoszech, tematy religijne zostały pierwsze szerzej zrealizowane. W czasie, gdy dwa trusty, Edison i Biograph, toczyły ze sobą wojnę bez miłosierdzia, niezależni wytwórcy, postanowili

wzbogacić się przez nakręcanie filmów o kierunku religijnym. Hurd, który był w Stanach Zjednoczonych przedstawicielem Ludwika Lumiere'a, skłonił dwóch teatralnych impresariów, Klaw'a i Erlanger'a, żeby się udali do Europy dla nakręcenia tam „Męki“ z rodzaju tej, jaką się przedstawia co dziesięć lat w Oberammergau. Udała się więc wyprawa do Bawarii, gdzie wieśniacy nasładowali przykład Oberammergau. Film kosztował dziesięć tysięcy dolarów, a dochód był taki, że natychmiast wzbudził naśladowców. Hollaman, dyrektor czegoś w rodzaju nowojorskiego muzeum Grévin, nakręcił nową „Mękę“ na... dachu Wielkiego Centralnego Pałacu, w środku Nowego Yorku. Główne osoby zostały odtworzone anonimowo przez aktorów teatralnych. Później ujawniono ich nazwiska: Franciszek Russel był Chrystusem, Franciszek Caylor wcielił Judasza, a Ryszard Strong grał Piłata Ponckiego. Po tej „Męce Chrystusa“ z 1898 roku nastąpiła trzecia, zrealizowana w Filadelfii przez Lubina.



G. Chmara w filmie „I. N. R. I.“

Epoka wielkiego rozkwitu kina dała życie dwóm kapitalnym dziełom, poświęconym całkowicie życiu Chrystusa. Był to najpierw „I.N.R.I.“, film niemiecki Roberta Wiene'a, potem „Król Królów“, amerykański film Cecile B. de Mille'a. Często zarzucano filmowi Roberta Wiene'a pewien chłód, było też jasne, że twórca filmowego ekspresjonizmu nie czuł się zupełnie dobrze przy nakręcaniu życia Jezusa Chrystusa. Od „Gabinetu Doktora Caligari“ do Bożej Męki jest bardzo daleko! Jednakże realizator dowiódł wielkiego mistrzostwa komponując całość z licznych epizodów historii Chrystusa od Żłobka aż do Kalwarii. Wiene skomponował zwłaszcza wspaniałą apoteozę Zmartwychwstania przy pomocy obrazów Rembrandta. „I.N.R.I.“ odznaczał się nadto doskonałą obsadą, gromadząc Grzegorza Chmarę, który stworzył Chrystusa rzeczywiście wzniosłego i pełnego wzruszającego wyrazu, Wernera Kraussa, zadziwiającego Piłata Ponckiego, Henny Porten jako Pannę Marię, Astę Nielsen w roli Marii Magdaleny i Emanuela Reichera, wspaniałego Kaifasza. Gdyby nawet „I.N.R.I.“ nie zadowolili był wszystkich, to i tak nie można było zaprzeczyć, że było to pierwsze czysto artystyczne przedstawienie na ekranie Męki. W trzy lata zaledwie po realizacji filmu Roberta Wiene nastąpiła w Ameryce realizacja wspaniałego „Króla Królów“ Cecile B. de Mille'a. Każ-

dy z tych utworów posiadał charakterystyczne cechy kierunków kina w krajach rodzimych. Dzieło Wiene'a posiadało niezaprzeczoną wartość malarską, pewną doskonałość gry i... było ciężkie. „Król Królów“ olśniewał szerokością inscenizacji i ukazywał doskonale znane błędy Cecile B. de Mille'a: Sztuczność i brak głębi. Jednakże te błędy były nagrodzone wspaniałą oprawą, przez takie ruchy tłumów, jakie de Mille od lat praktykuje i w końcu przez tak dostępne podanie tematu, że film ten jeszcze przed ukazaniem się na ekranach dawał wszelkie rękojmie powodzenia. H. B. Warner przedstawił Chrystusa o wiele podobniejszego do Jego obrazu z legendy anglo-amerykańskiej, niż z legendy łacińskiej i dlatego prawdopodobnie powodzenie jego było całkowite tylko w krajach protestanckich. Obok niego Wiktor Varconi był może trochę za eleganckim Piłatem Ponckim, Dorota Cummings była Panną Marią, a Jacqueline Logan uosabiała Marię Magdalenę. Stary Rudolf Schildkraut odtwarzał przejmującą postać Kaifasza, podczas gdy jego syn, Józef Schildkraut wcielił Judasza w rażącej sprzeczności z całą ustaloną tradycją. W dziele Cecile'a B. de Mille'a bowiem Judasz został przedstawiony jako piękny i uwodzicielski mężczyzna. I przeciwnie, Ernest Torrence grał świętego Piotra trochę w stylu, który inni twórcy przyznawali Judaszowi. Można się spierać z tymi pomysłami, ale nie można im odmówić oryginalności.

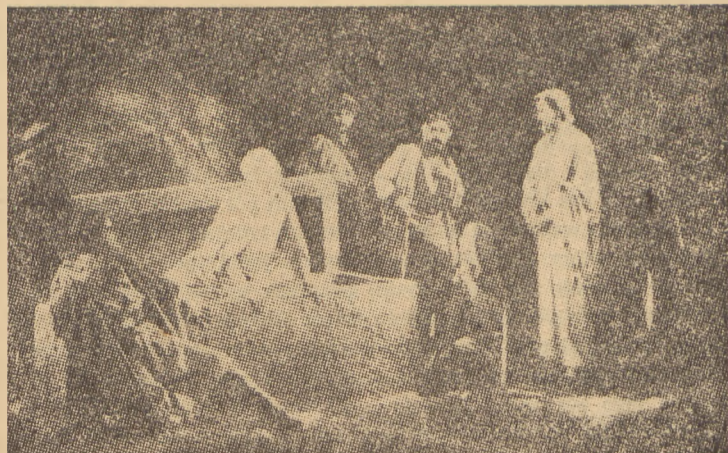
Zanim przejdziemy do odtworzeń taśmowych Męki, w czasie filmu mówionego, wypada przypomnieć tu przelotne pojawienia się Jezusa Chrystusa w dwóch filmach amerykańskich o nierównej wartości: w „Synu Marnotrawnym“ Raula Valsha i w „Ben Hurze“ Freda Niblo. W pierwszym z tych filmów, nieznanymi statystami zznaczą odległą sylwetkę w Wieczery, podczas gdy Chrystus Freda Nibla pozostanie klasyczny w historii kina. Pozostając, jako osoba, prawie niewidoczny, panuje on jednak swą duchowością w całym sławnym dziele Wallace'a, przyswojonym dla kina przez Freda Niblo przy użyciu gigantycznych środków. W chwalebnej trosce o delikatność, twórca uniknął pokazywania twarzy Chrystusa, a zadowolili się podkreśleniem Jego obecności przez cień, fragment ramienia lub szaty, jak również przez odruchy osób na scenie. Wielu aktorów grało z rzeczywistym talentem rolę Chrystusa na ekranie, sądzę jednak, że pojawienie się Syna Bożego, nie wywołało tyle oddźwięku, co to, prawie niewidoczne, ale głęboko poruszające zjawienie się.

Z chwilą, w której ekrany za-

częły mówić, wywołanie na taśmie Jezusa Chrystusa stało się znacznie trudniejsze, prawie niebezpieczne. Każdy obraz, nawet niedoskonale zrealizowany, pozostawia swobodę wyobraźni, ale dźwięk głosu ucina brutalnie skrzydła wszelkim wzlotom wyobraźni. Nie będzie więc lekko myślnością sądzić, że dla tej nowej, prawie niepokonalnej trudności, twórcy filmów zaniechali prawie życie Chrystusa od czasu przewrotu mówionego. Jeśli odśuniemy na bok bardzo krótkotrwałe nieme wywołanie Chrystusa przez Abła Gance'a, (on sam odtwarzał tę rolę), w prologu do „Końca Świata“ i jeśli tylko dla pamięci przytoczymy meksykańską, dość mierną realizację „Marii Magdaleny“, przedstawioną ostatnio publiczności z Ludwikiem Alcoriza w roli Chrystusa obok Medei de Nowara (Maria Magdalena), to znajdziemy tylko jeden film, odtwarzający w mocny sposób Boską Mękę: „Golgotę“ Juliusza Duvivier. Zrealizowany przy użyciu wielkich środków technicznych, które przewyższały być może jego duchowe znaczenie, film ten wywołał liczne spory, które dziś straciły na ostrości. Trochę zimna, jak wszystko, co wychodzi od tego twórcy, z wyraźnym pierwszeństwem formy nad treścią, „Golgota“ jest jednak dziełem wysokiej klasy. Zaznacza się w niej szczególnie zachwycająca gra Harry'ego Baura w roli Heroda. Co do osoby Chrystusa, to odtworzył ją niezrównanie Robert Le Vigan, z anielską słodyczą i ze wzruszeniem rzadko spotykanym. A z głosem stał się cud. Nikt z tych, którzy widzieli „Golgotę“, nie może zapomnieć ciepła głosu Chrystusa. Jego „zaprawdę, powiadam wam“, brzmi dotychczas w uszach, jak niebiańska muzyka. Jaka szkoda, że to dzieło o tak wspaniałych wartościach, zostało splamione poważnymi błędami, które je bezlitośnie deklasują!

Za naszych dni spostrzegamy pewne odrodzenie filmu religijnego, które się przeciwstawia realizacjom szkoły neorealistycznej. W St. Zjednoczonych, jeśli mamy wierzyć komunikatom twórców filmów, odtwarzanie Męki Chrystusa zajmie, zdaje się, dużo miejsca. W Europie powinniśmy cierpliwie i życzliwie oczekiwać przyszłej realizacji „Boskiej Tragedii“ Abła Gance'a. Oby ten wielki reżyser został dotknięty przez łaskę, by mógł ofiarować światu autentyczne arcydzieło, które by postawiło kino na jednym poziomie z innymi sztukami, które tak liczne razy składały olśniewające hołdy Męce Pańskiej, tematowi wieczycie wzniosłemu, dającym natchnienie największym architektom, największym malarzom, największym muzykom. Czy Abel Gance będzie Leonardem da Vinci ekranu?

Karol Ford



Scena z filmu „Król Królów“ reż. Cecil B. de Mille'a

\*) Karol Ford, krytyk i historyk filmu, autor licznych dzieł, z których „Pokróćce o filmie“, „Kręcimy w poniedziałek“, i przy współpracy René Jeanne „Historia filmu“ szczególnie dobrze oddają wysiłki jakie przedsięwzięto w filmie, dla odtworzenia postaci Zbawiciela.

Wojciech Kętrzyński

## DE GASPERI — „FELIX CULPA”?

Pociąg pośpieszny, dążący z Paryża do Rzymu przekraczał właśnie granicę francusko - włoską. Uderzający kontrast między atmosferą tych dwóch krajów, między rozgorączkowaną, wybuchową, chwilami histeryczną atmosferą francuską a spokojem i tchnącym na pozór komfortem życiem włoskim, musiał zafrapować każdego choć trochę myślącego podróżnego.

Zegnaliśmy Francję co prawda w warunkach niezwykłych. Niespodziewanie dla szerokiego ogółu wybuchł bowiem strajk wszystkich załóg wagonów restauracyjnych i sypialnych, dezorganizując w sposób katastrofalny cały ruch turystyczny tak wewnętrzny, jak i tranzytowy Francji. Na dworcach pełnych podróżnych uciekających przed lipcowym wielkomięskim skwarem działały się istotnie sceny, które dla Polaka mogły się wydawać śmieszne, lecz dla Francuza — wydawały się co najmniej dantejskie. Przeciwny bowiem „bourgeois” nie wyobrażał sobie w ogóle, by można było wypuścić się w dalszą podróż bez komfortowego sleepingu, bez zapewnienia sobie obiadu z dobrym winkiem w restauracyjnym wagonie. Tymczasem nie tylko zabrakło tych niezbędnych składników podróży, lecz nadto w przepelnionych wagonach w ogóle zaczęło braknąć miejsc, a liczne biura podróży, nie wiedząc co czynić w tym nieszczęściu, spokojnie zapewniały każdego klienta, że na dworcu będzie czekał urzędnik, który zapewni mu miejsce w pierwszej klasie, „jeśli ten przeklęty strajk nie zostanie jeszcze zlikwidowany”. Rzecz oczywista na peronie nie było urzędników, a zrozpaczeni turyści biegali tam i sam w poszukiwaniu interwencji, napełniając hałą dworcową różnorodnym jazgotem. Łatwo też sobie wyobrazić, jaka atmosfera panowała na tym tle w przepelnionych wagonach.

Gdy tylko nasz pociąg dotarł do Turynu, pierwszej węzłowej stacji po przebyciu granicy — sytuacja zmieniła się natychmiast. Dochodziło do wycieczek, rozdano smakowite obiady, roznoszono po wagonach najrozmaitsze przysmaki, a pomęczeni „bourgeois” posnęli na miękkich postaniach. Rozpłynęła się naprężona atmosfera, uciły rozmowy o strajkach — wydawałoby się, że wjechaliśmy do kraju pozbawionego wszelkich społecznych powikłań. Eldorado?

\*\*

Obcemu przybyszowi trudno jest dopatrzeć się rzeczywistości włoskiej. Natura wyposażyła ten kraj tak pięknie, tak, na pozór, bogato, że turysta oczarowany swoistym wdziękiem włoskiego klimatu i włoskiego krajobrazu, zapomina zbyt łatwo o tym, że na pięknej tej ziemi żyją ludzie, zwykli ludzie, obarczeni codziennymi troskami i niepokojami. Nie zdaje on sobie sprawy z tego, że ani piękno natury, ani urok historycznych zabytków w niczym nie gwarantuje przeciętnemu mieszkańcowi tych stron chleba powszedniego.

Włochy są krajem, żyjącym zdawien dawna z turystyki. Włosi, ludzie przeważnie ubodzy a wbrew utartym przekonaniom pracowici i zapobiegliwi, nauczyli się szybko, że „możni panowie”, odwiedzający ich kraj, syjący suty mi napawkami, pozostawiający u nich cenne dewizy, nie znoszą widoku nędzy, nieszczęścia, bólu. Włosi nauczyli się swą biedę konspirować. Natura im w tym niewątpliwie pomogła, gdyż nic tak nie maskuje ubóstwa jak piękny krajobraz, skąpany w blaskach słonecznych. Trzeba dobrze wiedzieć czego się szuka, trzeba umieć przełamać mur uprzejmej, czasami aż serwilistycznej obojętności, by móc, będąc obcokrajowcem, poznać prawdziwe życie włoskiego społeczeństwa.

Zadanie istotnie nie łatwe. Gdy się przekroczy granicę francusko-włoską — wkracza się w jakąś na pozór najzupełniej odmienną atmosferę społeczną. Francja wre całą namiętnym socjalnym konfliktem. Całe życie publiczne tego kraju wstrząsane jest raz po raz paroksyzmami strajków, demonstracji, rozruchów, czasem na wet walk ulicznych. Czasopisma pełne są tych problemów. Codzienne życie tętni nimi, słychać o nich na ulicach, w metrze, w autobusach. Całą prawdę socjologiczną można zaobserwować na podstawie reakcji przeciętnego Francuza na odgłosy walki robotniczej. Jakżeż dużo się tam można nauczyć, gdy się widzi jak na dłoni tych, którzy swą zdeklarowaną wrogość dla mas robotniczych obnoszą, tych którzy w tej walce biorą czynny udział.

We Włoszech zupełnie inaczej. Na odmienną formę ujawniania się konfliktów społecznych wpływa nie tylko urok półwyspu Apenińskiego i umiejętność bawienia zagranicznych turystów. Między Francją a Włochami zachodzą dość poważne różnice w społecznej strukturze. Włochy bliższe są jeszcze pod tym względem przedwojennej Polsce niż dzisiejszej Francji. Mieszczanstwo pozostaje tam płytka warstwa, której hegemonia polityczna datuje się dopiero od niedawna. Ziemiaństwo, arystokracja zachowuje tam do dziś dnia nie tylko swe wielkie fortuny, lecz również i wielkie wpływy polityczne i ekonomiczne. Wieś, stale żyjąca na progu nędzy, stanowi odrębną siłę, niezależną od miasta, słabo uświadomioną społecznie. Masy robotnicze, skoncentrowane w północnych Włoszech muszą więc walczyć inną bronią, akcją ich jest mniej masowa, lecz bardziej przemyślana, krok po kroku wywalczająca sobie nowe pozycje. Strajki, niemniej częste niż we Francji (w czasie mego krótkiego pobytu

byłem świadkiem dwóch wielkich akcji — strajku robotników sezonowych i strajku robotników portowych), odbijają się mniejszym echem na całokształcie życia włoskiego, zaś niektóre dziedziny, zwłaszcza te ściślej związane z turystyką oszczędzane są pod tym względem wyraźnie.

Włochy są bodajże jedynym krajem spośród okupowanych, który nie dokonał wymiany waluty, ani w żaden inny sposób nie ściągając radykalnie nadmiaru gotówki z rynku. Poza wszelkimi skutkami ekonomicznymi ten stan rzeczy pozwolił tym wszystkim, którzy w czasie wojny zbierali bajeczne fortuny, zatrzymać po dziś dzień swe olbrzymie zasoby materialne. Z drugiej strony Włochy, dzięki swej specjalnej sytuacji — kluczowej strategicznie i politycznie dla imperialistycznych zamysłów kapitalizmu światowego, są dziś oczkiem w głowie dysponentów tzw. planu Marshalla. Przy niewątpliwych umiejętnościach do wydrwigroszostwa, rząd włoski potrafił w tych warunkach wytworzyć zewnętrzne pozory dobrobytu i luksusu, tak potrzebne dla turystyki.

Istotnie, nie tylko sklepy są pełne luksusowych towarów, lecz i ulice wielkomięskie tętnią bujnym życiem i zabawą. Temperament włoski nie skłania do francuskiej oszczędności i zamkniętego w gronie najbliższych życia. Temperament gna Włocha po ulicach, po kawiarniach i trattoriach, każe mu ciepłymi wieczorami do późnej nocy gawędzić z przyjaciółmi przy lampce wina, lub gromadnie, z żoną i licznymi dziećmi spokojnym krokiem puszczać się na długie spacerki. Nie ma we Włoszech ograniczeń w godzinach handlu. Francuz, bogaty, ceni sobie odpoczynek, Włoch, przeważnie ubogi, ceni zarobek. Klient, jego pan daje zarobić więcej w piękne, ciepłe wieczory niż w upalne dni. Więc pracuje się nocami. I dniami zresztą też.

Pierwsze wrażenia dobrobytu rozwiewa dopiero dłuższa obserwacja, lub, dla tych, którzy znają język włoski, dotarcie do rzeczywistych problemów mas pracujących. Obraz zaciemnia się natychmiast — około trzy miliony bezrobotnych, z czego tylko część zarejestrowana i licho wspomaganą, znaczna większość zaś — to sezonowi pracownicy, lub pół-bezrobotni na głodowych płacach. Dzień w dzień rzesze młodych Włoszek opuszczają kraj, by wynajmować wraz ze swą pracą swe życie i zdrowie gdzieś, daleko od Ojczyzny. Widziałem tych ludzi na dworcach, licho odzianych, z nikłym osobistym dobytkiem, wygnani, skazani przez własny ustrój na zbrodnie ubóstwa.

Pełnego dnia, w niedzielę, przy wyjściu z kościoła trzema postrzałami ciężko zranili nieznanego osobnik wychodzącego z nabożeństwa młodego księcia Torlonia. Okazało się szybko, że zamachowcą był pracownik wydany z księżecego majątku, który, na dnie nędzy, chwycił za pistolet.

Księżęta Torlonia należą do najbogatszych rodzin arystokratycznych włoskich. Oficjalne statystyki włoskie podają, że mniej więcej 2,5 proc. rodzin włoskich skupia w swym ręku dochody przewyższające 370 tysięcy lirów miesięcznie. Statystyki te milczą skromnie jakże sumy osiągają dochody tych nielicznych najbogatszych.

Wiadomo jest natomiast, że 4.500 tysięcy rodzin włoskich, czyli 49 proc. ludności dysponuje dochodem nie przewyższającym 22.000 lir, czyli poniżej minimum życia włoskiego.

Zestawiając te dane stwierdzamy, że:

4.500 tysięcy rodzin nie posiada minimum życiowego,

3.350 tysięcy rodzin żyje na poziomie tegoż minimum,

2.600 tysięcy rodzin żyje dostojnie,

250 tysięcy rodzin żyje natomiast w warunkach luksusowych!

Zamach na czyjeś życie z pobudek osobistych jest zawsze zbrodnią. Jakżeż jednak wyraziście rysuje się przed nami obraz tej niedzielnej tragedii, gdy uświadomimy sobie spotkanie członka jednej spośród czterech milionów rodzin głodujących, z przedstawicielem jednej spośród ćwierć miliona rodzin pławiących się w niebywałym luksusie.

Nie małe więc były zadania, które stanęły przed nowymi władzami włoskimi po wyzwoleniu. Cały spadek zacofania gospodarczego, społecznego, obciążony ponadto demoralizacją dwudziestu paru lat faszystów! Wydawało się, że w obliczu rzeczywistej sytuacji narodu włoskiego — nastąpi potężny zryw społeczny, w którym znalazłyby miejsce obok siebie wszystkie siły postępu, zarówno katolickie jak i marksistowskie.

Tak się jednak nie stało. Siła ciężania ku konserwatyzmowi, tak charakterystycznie cechująca katolickie ośrodki polityczne na przestrzeni XIX wieku, poparta w tym wypadku bezwzględna presja amerykańską wzięła górę. Po pewnych początkowych wahaniach ustaliła się linia polityczna obowiązująca we Włoszech: Prawicowy blok anty - komunistyczny, szachujący siłą mocną pozycję komunistów i lewicy socjalistycznej Nenniiego. Wszystko bowiem co poza nimi się znajduje — oscyluje ku skrajnej prawicy.

Formalnie, rządy de Gasperiego i Chrześcijańskiej Demokracji reprezentują we włoskim układzie sił politycznych pozycje centrowe. Na prawo od nich znajdują się liberałowie i monarchiści, a dalej jeszcze neo-faszyści. Na lewo od Chrześcijańskiej Demokracji „niby” znają się socjaliści Saragata, grupa w istocie najzupełniej kanapowa, oraz inne prawicowo - socjalistyczne grupy secesyjne, Romity i Silone. W istocie jednak trzeba stwierdzić, iż niezależnie od tego, kto wchodzi w skład rządu istnieje wyraźny i jawny blok solidarności obejmujący, poza neo-faszystami, wszystkie te ugrupowania polityczne. Nie sposób więc inaczej określić sytuację polityczną włoską niż jako rządy bloku prawicowego. Centrum włoskie jest taką samą fikcją jak trzecia siła francuska.

Całkowicie lojalne w stosunku do de Gasperiego pismo „lewicy” chadeckiej — „Cronache Sociali” pisze o tym bez obłonek:

„Blok antykomunistyczny... gwarantuje odsunięcie reform strukturalnych, przede wszystkim w sektorze przemysłu, a szeroką tolerancję we wszystkich innych sektorach, wprowadza, przy traktowaniu wszystkich problemów społeczno - politycznych metodą tolerancyjną i „dobroduszną” konserwatywną”.

## Nekrologia paryska

## ANASTAZY LEPLA

Koniec ub. roku poczynił w Polsce parę parę szereg bolesnych strat. Około połowy listopada zmarł w Paryżu w zupełnej nędzy i opuszczeniu utalentowany rzeźbiarz polski śp. Anastazy Lepla, przeżywszy lat 75. Zapomniany o jego istnieniu całkowicie w kraju, może jednak Państwowy Instytut Historii Sztuki przygotowujący Słownik plastyków polskich (przed rokiem zapowiedziano już wydanie pierwszej zeszytu), zainteresuje się puścizną tego artysty i ocali bodaj wieść o niej dla Kraju.

## JAN MATYASIK

W dn. 25 grudnia 1949 zmarł w Paryżu zasłużony dziennikarz-publicysta śp. Jan Matyasik. Pochodził z rodziny chłopskiej z woj. krakowskiego. W latach 1920-1932 redagował krakowski dziennik „Głos Narodu”, oraz opiekował się też troskliwie młodą generacją literacką. Następnie był korespondentem pism katolickich w Paryżu i Rzymie. W czasie wojny aresztowało go Gestapo w Lublinie za działalność publicystyczną antyniemiecką. Około pięć lat przecierpiał w różnych obozach koncentracyjnych, co podkopało zupełnie jego zdrowie i przyczyniło się pośrednio do przedwczesnego zgonu. Grono przyjaciół i znajo-

mych uczciło jego pamięć przybywszy na nabożeństwo żałobne odprawione 14 bm. w kościele N. M. P. w Krakowie.

## EMILIA FISZER

Również w Paryżu zgasła 3.XI ub. roku Emilia Fiszer, zasłużona bibliotekarka Biblioteki Polskiej, przeżywszy lat 64. Pracowała też naukowo i ogłosiła szereg rozpraw z dziedziny filozofii. Była jedną z najbliższych współpracowników śp. ks. Augustyna Jakubiśki, filozofa katolickiego. Jej zasługą były też liczne wystawy, które inicjowała w paryskiej Bibliotece Polskiej.

## KAZIMIERZ WOŹNICKI

W listopadzie ub. r. zmarł w Paryżu literat publicysta oraz wielki miłośnik książek, Kazimierz Woźnicki, przeżywszy 71 lat. W roku 1900 by uniknąć aresztowania, opuścił Niemcy, gdzie odbywał studia uniwersyteckie. Osiedlił w Paryżu i spędził tam pół wieku swego życia. Zajmował kolejno szereg stanowisk w instytucjach polskich: był przed pierwszą wojną światową kierownikiem Polskiej Agencji Prasowej, utrzymywanej w Paryżu przez galicyjską Radę Narodową. W czasie pierwszej wojny pracował w biurach Polskiego Komitetu Narodowego, potem w Delegacji Polskiej na

Konferencję Pokojową, był wreszcie attache poselstwa, a następnie ambasady polskiej w Paryżu, skąd ustepił w 1927 r. Zamiłowania jego nie szły w kierunku politycznym, pociągała go literatura. Toteż zdobył wszechstronną znajomość literatury francuskiej. Pisał o zjawiskach literackich we Francji i w czasopiśmie polskich, dokonał kilku tłumaczeń, posiadał szerokie stosunki w kręgach literackich Paryża i wysykiwał je dla zainteresowania opinii literackiej we Francji sprawami polskimi. Wielu pisarzy francuskich, którzy w pierwszej połowie XX wieku pisali o Polsce, uczyniło to z namową, zachęty i za pośrednictwem Woźnickiego. Do nich należeli: Benaim, Cazin, Grapin, bracia Leblond (autonowie książki „La Pologne vivante”), de Montfort, Merlot, Menabrea i wielu innych. Zgromadził Woźnicki piękną bibliotekę dzieł francuskich, posiadał zbiór sztycznych o tematach polskich, będących dziełami grafików francuskich i angielskich. Jego puścizna rękopiśmienna i obfita korespondencja z różnymi osobistościami polskimi i francuskimi złożona została w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Zwłoki jego spoczęły na cmentarzu w Montmorancy, gdzie pochowano wielu Polaków.

Dobroduszość tej polityki zanika jednak, gdy ten sam organ precyzuje konsekwencje polityczne istniejącego stanu rzeczy: „Blok anty-komunistyczny oznacza odsunięcie reform strukturalnych wszelkiego typu i stopnia, oznacza utrzymanie porządku kapitalistycznego i progresywne zużyczenie klasy robotniczej”.

Można patrzeć na rządy Chrześcijańskiej Demokracji w najróżniejszy sposób, w zależności od przekonań politycznych, można twierdzić, iż są wyłącznie wynikiem sytuacji międzynarodowej, że są mniejszym złem niż nawrót do faszyzmu, usprawiedliwiać de Gasperiego znaną tendencją do „roztropności” i „złotego środka”. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że w przeciwieństwie do wszystkich innych rządów podobnego typu, posiada Chrześcijańska Demokracja zupełnie swoistą sytuację moralną w oczach katolików — obciąża ich odpowiedzialnością za czyny. Rządy Chrześcijańskiej Demokracji są reprezentatywnymi rządami ugrupowania, legitymującego się swym chrześcijańsko-społecznym programem. Będąc ponadto rządami kraju, stanowiącego centrum katolicyzmu, znajdując się u boku Ojca Świętego i Watykanu — koncentrują na sobie uwagę całego świata. Stąd też ogrom pomozzonej odpowiedzialności. Stąd też obowiązek krytyki ze strony społecznych ośrodków katolickich światowych, obowiązek zresztą, zbyt rzadko wypełniany.

\*\*

Włosi twierdzą, iż istnieją dwie partie rządzące u nich — Chrześcijańska Demokracja i Akcja Katolicka. W rzeczywistości należało by poprawić ten sąd — Akcja Katolicka rządzi Chrześcijańską Demokracją, a ta ostatnia — Włochami. Trudno mi się wyrażać o stronie religijnej działalności Akcji Katolickiej. Jest na pewno duża. Obok niej jednak ta instytucja prowadzi nie od dziś własną akcję typu politycznego, formułuje programy, realizuje je własnymi środkami, wywiera potężną presję na opinię publiczną. Posiada liczne kadry zdyscyplinowanych działaczy, którzy, bardzo często są równocześnie działaczami Cha-Decji. W takim jednak wypadku ich dyspozycyjność w stosunku do Akcji Katolickiej jest większa, gdyż jest to instytucja starsza i znacznie bardziej dynamiczna. Chcąc, czy nie chcąc — Akcja Katolicka nie może nie odgrywać we Włoszech roli politycznej, nie może nie wpływać na kierunek polityki partyjnej.

Akcja katolicka dysponuje we Włoszech 8 dziennikami, około czterdziestu periodykami przystosowanymi do potrzeb każdego wieku i wykształcenia, opiera się w działalności terenowej na siatce 23.000 parafii, posiada więc aparat sprawniejszy i potężniejszy od polityczno-propagandowego aparatu samej Chrześcijańskiej Demokracji.

W okresie wyborów, pod kierownictwem jednego z czołowych działaczy Akcji Katolickiej, prof. Gedda, powstała specjalna organizacja propagująca Chrześcijańską Demokrację — „Komitety Obywatelskie”. Dzięki niej de Gasperi zebrał miliony głosów z tych zagubionych zakątków Włoch, dokąd inna propaganda nie trafiałaby, z braku po prostu dostatecznego aparatu partyjnego.

Gdy jednak, już po wyborach, na placu przed Bazyliką św. Piotra odbył się masowy wiec „Komitetów Obywatelskich”, na którym ostro zgromiono pasywność

gospodarzą de Gasperiego — okazało się, że pomoc udzielana nie była bezinteresowna. Premier Włoch udał się ze skargą do najwyższych autorytetów kościelnych. Protestował przeciw tej nie spodziewanej ingerencji. Przy najbliższych jednak nominacjach do Głównego Zarządu Akcji Katolickiej — prof. Gedda uzyskał potwierdzenie swej nominacji. Tym samym jego polityka uzyskała w istocie sankcję autorytatywną.

Nie wolno więc zamykać nam oczu na krzyżowanie się we Włoszech wpływów kościelnych i świeckich w życiu politycznym. Stanowi to jednak jeszcze jedno obciążenie odpowiedzialnością rządów Chrześcijańskiej Demokracji w oczach katolików całego świata.

\*\*

Czymże jest więc ustrój współczesnych Włoch, rządzonych przez Chrześcijańską Demokrację pod nadzorem katolickich organizacji włoskich? Jakim jest wzorcem praktycznym dla tych katolików, którzy szukają w katolicyzmie, obok ogólnych zasad światopoglądowych — konkretnej, zdefiniowanej nauki społecznej?

Cytowana powyżej wypowiedź „Cronache Sociali” mówi wyraźnie o „utrzymaniu porządku kapitalistycznego” we Włoszech, przez Chrześcijańską Demokrację. Sąd ten potwierdza naczelny redaktor czołowego pisma katolickiego w Anglii „Tablet”, również skrajnie prawicowego:

„Partia Chrześcijańsko - Demokratyczna, pisze on, wybrała świadomie, i moim zdaniem najzupełniej słusznie, zachowanie struktury kapitalistycznej i prowa dzenie polityki liberalnej, której zasadą jest poszanowanie dla prywatnej inicjatywy szukającej dochodu dla siebie i swej rodziny... Tak więc — dodaje Douglas Woodruff — ustrój powojennych Włoch jest kapitalistyczny, nie socjalistyczny, ani korporacyjny”.

Nie mogło to być jaśniej i dobitniej wyrażone. Chrześcijańska Demokracja realizuje program społeczny nawet nie socjalistyczny, czy korporacyjno-reformistyczny, lecz po prostu kapitalistyczny, dążąc niewątpliwie do wprowadzania w nim ulepszeń w duchu chrześcijańskim.

Z tych twierdzeń nie zamierzam wyciągać żadnego innego wniosku poza tym, że blok prawicowy żadnej innej linii społecznej nie mógłby realizować, niż kapitalistycznej, obojętnie, jaką by się temu ustrojowi dawało nazwę. Fakt masowego poparcia duchowieństwa włoskiego dla tej linii politycznej jest dowodem konkretnej, miejscowej orientacji a nie takich właśnie konsekwencji doktrynalnych katolicyzmu. Fakt konserwatywnej, kapitalistycznej, po prostu reakcyjnej linii programowej Chrześcijańskiej Demokracji jest wyrazem kompromisu z rzeczywistością grupy, która ideologicznie nie wyszła poza pojęcia kapitalistyczne. Z Encyklik Społecznych, na które lubi się sama powoływać, bynajmniej nie wyciągnęła ona wniosku, by taki kompromis był moralnie niedopuszczalny.

Jestem najgłębiej przekonany o fałszu nie tylko politycznym, ale i moralnym takiej postawy, lecz wydaje mi się, że w ramach konkretnych warunków politycznych — sądzić Demokrację Chrześcijańską trzeba na podstawie jej konkretnych błędów a nie, odwołując się do autorytetu Kościoła. Dlatego też znajduję w tychże samych Encyklikach tylko ogólne wiążące wskazania, a nie program polityczno-społeczny. Gdybym

postępował inaczej — musiałbym nieuchronnie dojść do wniosku, że nie ma ani jednego katolika wśród działaczy Chrześcijańskiej Demokracji. Były to nonsens.

Konserwatywne rządy katolików nie są monopolem de Gasperiego. Indentyczne zjawiska notujemy dziś we Francji, w Belgii, w Holandii, nie mówiąc już o wypadku Hiszpanii czy Portugalii. Całe to zjawisko traktujemy jako wyraz fałszywej postawy politycznej i ideowej tych katolickich społeczności, lecz nie czujemy się tym procesem w żadnej mierze związani doktrynalnie, jako katolicy. Najwyżej wyciągamy stąd wniosek, że społeczne wskazania Kościoła zostały w ich interpretacji gruntownie sfałszowane. Wypadek włoski jest od innych natomiast bolesniejszy, gdyż fakt, że podobnie błędna postawa możliwa jest w samym centrum katolicyzmu światowego dowodzi, że kryzys postawy społecznej katolików przybrał rozmiary groźne.

Ideologicznie — program Chrześcijańskiej Demokracji Włoskiej jest kompromitacją tych wszystkich kierunków pleniących się wśród katolików, głoszących odrębność katolickiego wzorca realizacyjnego społeczno-ustrojowego. Jest typowym dowodem owego „tertium non datur” stwierdzeniem, że katolicy, w oparciu o cały swój wiekowy dorobek światopoglądowy muszą wybierać między tymi dwoma tendencjami ustrojowymi, które charakteryzują współczesność — między kapitalizmem i socjalizmem, żeby jeden z tych dwóch systemów natchnął duchem chrześcijaństwa. De Gasperi — postawił na kapitalizm — w rezultacie dopuszcza się coraz to głębszego rozbratu między postawą katolicką a aspiracjami mas pracujących włoskich.

Gdyby to była pomyłka De Gasperiego — nie przywiązywałibyśmy do niej tak wielkiej wagi. Specyficzne warunki włoskie powodują jednak, że odpowiedzialność za polityczne błędy Chrześcijańskiej Demokracji rozszerza się natychmiast poprzez Akcję Katolicką — na katolicyzm włoski.

Nie interesują nas pod tym względem oskarżenia lansowane przez nie-katolików. Z punktu widzenia czysto katolickiego — odpowiedzialna jest tu zarówno Chrześcijańska Demokracja, która nie zdobyła się na odrzucenie pokusy korzystania z pomocy wyborczej kleru i aparatu czysto katolickiego — jak i Akcja Katolicka, która nie oszczędzając najwyższych autorytetów katolickich, realizuje swe zbyt doczesne ambicje.

De Gasperi dał się sprowadzić do roli katolickiego parawanu kapitalizmu we Włoszech. Natomiast ingerencja Akcji Katolickiej w życie praktyczne dała tej błędnej postawie wszelkie pozory sankcji doktrynalnej katolicyzmu.

Błąd w konsekwencjach groźny i bardzo bolesny. Trzeba go sobie dobrze uświadomić, by nie utożsamiać katolickiej doktryny z jej nieudolnymi naśladowcami.

\*\*

W podobnej sytuacji we Francji — przeciwstawę stanowi „katolicka lewica” Wiemy już dobrze, że „katolicka lewica” jest dziś w pierwszym rzędzie odruchem moralnego i intelektualnego protestu. Próby wprowadzania go w życie społeczne i polityczne są jednak ciągle jeszcze bardzo skromne.

Gdzie jest „lewica katolicka we Włoszech”?

Była mowa o lewicy „chrześcijańskiej demokracji”. W istocie słuszniej byłoby mówić o „społecznych radykałach”. Są to małe grupy ludzi niewątpliwie szcze-

rych, prawdziwych katolików, którzy swą rolę mentorów kapitalistycznego społeczeństwa chcą brać naprawdę na serio. Gronchi — prezydent Sejmu włoskiego, grupa posłów — z młodym i wybitnym Dosettim na czele, minister Tanfani, czasopisma jak „Cronache Sociali”, „Politica d'Oggi” — oto ich pozycje.

Czego chcą? Obudzić w Chrześcijańskiej Demokracji jej uspiołone, społeczne sumienie. Zmusić rząd do rzeczywistych świadczeń społecznych, przyspieszyć mityczną reformę rolną. Dużo dobrych chęci, wiele prawdziwego zapału i uczciwości — zagubionego w masie zbyt przyziemnych interesów rządzących w Chrześcijańskiej Demokracji. Ci „młodo-turcy” jak ich przezywają stanowią materiał na lewicę katolicką. Nie są nią.

Proces „lewicowości” trzeba przeżyć. Trzeba go intelektualnie przetrawić i przebrnąć przez nieporozumienia katolickich programów społecznych. Trzeba wyłamać się z psychiki środowisk mieszczańskich. Trzeba włączyć się w nurt problematyki mas.

Włochy — kraj katolicki — nie posiadały nigdy wybitnej elity intelektualnej. Wydaje się, że całą elitę pochłaniał potężny aparat administracyjny w Kościele. (270 diecezji) i rozbudowane instytucje Stolicy Apostolskiej. Klimat klerkalny panuje tam mocniej od intelektualizmu, z natury świeckiego. Ponadto tradycja ostatnich stu lat powiązała silnie inteligencję z ruchami wolnościowymi, antyklerykalnymi, masonskimi. Problem samodzielności włoskiej inteligencji katolickiej jest problemem najzupełniej świeżym.

Stąd też nowo-powstające ugrupowania lewicowe — o tendencjach chrześcijańskich, spirytualistycznych — wyrastały przeważnie w atmosferze swobodnego antyklerykalizmu i z ubogą bazą ideo-

logiczną własną. Tak samo z „Progressistami” włoskimi. Ludzie ci albo popadali w konflikt z Hierarchią niezwyčajną do tolerowania takich odchylen, lub też wchodzili w nurt komunizmu — stając charakterystyczne dla Włoch zjawisko komunistów-katolików (Rodano, Balbo, del Noce).

Brakuje więc we Włoszech ośrodków autentycznie katolickich, doktrynalnie i światopoglądowo wyrobionych, które by w poważniejszej mierze stanowiły przeciwagę Chrześcijańskiej Demokracji. Jednak nie wolno nie zauważyć w masach społeczeństwa, w środowisku tej części młodzieży, która się wychowała w duchu katolickim, lecz w tradycjach anty-faszystowskich, w licznych kołach młodego duchowieństwa — potężniejszej reakcji przeciw fałszywemu kompromisowi katolików z kapitalizmem.

Jeżeli bowiem dla Gasperiego ten stan rzeczy jest wyrazem jego liberalnych poglądów pieśczonego przez długie lata faszyzmu, jeśli dla zdemoralizowanej arytokracji i zmaterializowanej finansjery — Włochy dzisiejsze są istotnie realizacją marzeń, to dla młodych pokoleń — są one przyczyną licznych i bolesnych rozczarowań. Ta rzeczywistość niktogo ideoowo wrażliwego zadowolić nie może.

Stąd też potężniejsze oddolne odruchy buntu i protestu, których tylko nieśmiały i nieudolnym wyrazem są dziś „młodo-turcy” „chrześcijańskiej demokracji”. Odruchy te spostrzegawcze oko odnajdzie nie tylko w szeregach partyjnych, lecz nawet i w szeregach „Akcji Katolickiej”.

Może doświadczenie de Gasperiego przełamać konserwatywizm tradycji katolickiego obozu we Włoszech. Prawo reakcji zrodzi silną lewicę katolicką. „Felix cul pa”? Wojciech Kętrzyński

Michał Eminescu

## W I E R S Z E

G W I A Z D A

*Do gwiazdy której widać wschód  
droga jest taka długa,  
że tysiąc lat ubiegło wprzód,  
nim błysła światła smuga.*

*Może od dawna w drodze zgasł  
jej promień na błękicie,  
a ledwo dziś dobiega nas  
ślad jej gwiazdowego życia.*

*Na niebie gwiazdy zmarłej tej  
oblicze odnajdziecie:  
istniała — nie widziano jej,  
dziś nie ma jej, a świeci.*

*Tak, gdy noc czarna zaada kłam  
pragnień płomiennym dreszczom,  
zgasłej miłości światło nam  
ciągle przyświeca jeszcze.*

O M A M O...

*O mamo, droga mamo, z mgły czasu co cię grzebie,  
szelstern drżących liści przyzywasz mię do siebie.  
Na twój grobowiec święty, co legł na twojej krypcie,  
wicher z akacji gestych sypie wędnące liście  
i głos twój naśladuje o dźwięczną gałąź bijąc...  
...I głos twój wiecznie słyhać, gdy wiecznie grób cię kryje.*

*Gdy umrę, miła moja, próżno nad grobem nie płacz,  
lecz z drzew tych gałąź urwij z listkami, jeszcze ciepłą,  
i u mej głowy posadź od twego płaczu mokrą,  
niech na nią wciąż padają rześiste żalu krople,  
a może chłód poczuje od miłosiernych liści,  
kiedy mój grób ocieni, gdzie będę spał wieczyście.*

*A jeśli zgon nas skosi ginących jednocześnie,  
do zapleśniałych grobów na cmentarzu nas nie wieźcie,  
lecz kopcie nam mogiłę na brzegu rzeki szumnej  
i włóżcie oba ciała razem do jednej trumny.  
Na piersi mej spoczywać będziesz najbezpieczniej:  
wiecznie lkać będzie woda — nas sen osłoni wiecznie.*

Tłum. K. Hlakowiczówna

— To jeszcze trwa — myślał pa trząc w szaro-niebieską dolinę. Stado atramentowych, kosmatych grzbietów wędrowało w przeciwną stronę, kołysząc się, zapadając, dźwigając w górę — kierdel jakichś ogromnych, ociężałych baranów. Daleko, na horyzoncie, w wodnistym blasku księżyca widać było Tatry. Przypruszone popielatą mgiełką, błękitnawą, tu i ówdzie zarysowane miękką smużką jasności — pierwszym jesiennym śniegiem leżącym w żłobach. Mógł jeszcze rozpoznać z imienia ich kształty. Koszysta, Żółta Turnia, Kościelec, niski, szeroko rozwarty trójkącik Zamarłej... Przesuwały się powoli w bok, zachodziły poza tył pociągu, potem, na nowym zakręcie wracały, nawijane chwiejnie na olbrzymi walec nieba.

— Jeszcze trwa — myślał, wstrzymując oddech aby nie rozwiało mu się to wszystko. Ież to razy zacinął się nad taką chwilą, przytrzymywał ją całym skupieniem uwagi, usiłował zrobić z niej nieprzemijającą własność. Pozostawało tylko wspomnienie tego napięcia, świadomość powtarzania się obsesji. Za godzinę, może przed, znuży się, zniechęci, schowa się poza mur twardej obojętności. Jutro oszołomi go gwar spraw prostych i praktycznych. Będzie chodził, uśmiechał się, mówił, wodził stalówką po pa pierze i nakręcał numery telefonów z takim przekonaniem, jakby czynności owe podtrzymywały nad nim dach świata. Będzie się bardzo śpieszył, bo życie nie czeka, niecierpliwym wzruszeniem ramion będzie odkładał na nigdy nie ziszczone potem, rozliczenie się z zakopanych talentów, których zysk nie jest w stanie opłacić najskromniejszego ziemskiego posiłku. Życie nie czeka. A cóż czeka? Za oknem wagonu błyszczała wyzywająco tablica nocy, przemyta wilgocią księżycowej ja sności i cierpkim zapachem lasów. Drżał przed nią jak sztubak wiedzący z góry, że nie potrafi rozwiązać zadania.

Tymczasem, aby ocalić cokolwiek na szczęśliwszą okazję, próbował słów. Wierzył, że mogą się przydać, że można w nich, jak w pergaminowych torebkach przechować to, co umyśli i zmyśli. Więc najpierw dostępną oczom treść owego widoku, który — zdawało mu się — stanowił potrzebne tło, dawał akustyczne warunki głosom niedosłyszalnym na codzień. To tak jak zapisywanie tonacji. Potem kiedyś rozłoży partyturę i odczyta z niej bez trudu swój motyw. Przymierzał wyrazy i zdania, pracowicie układał kunsztowne przenośnie. Ale była to robota szyfrowa. Budował z cegeł wytartych tysiącem dotknięć, tworzył banalne wizerunki, zakrawające na bezmyślną parodię.

— Dlaczego te wszystkie porównania? — myślał ze smutkiem. — Dlaczego nie można wyjaśnić rzeczy przez nią samą? Może dlatego — przeszło go niepokojące podejrzenie — że rzeczy w ogóle nie da się wyjaśnić. Góry i drzewa, napływające z głębi nocy zapachy — czymże są naprawdę? Znakami o nieodgadnionej treści. Można nieśmiało przeczuwać ich sens i wtedy starać się obłąskawić go jakoś, przybliżyć podstępem zrozumiałych aluzji. To jest właśnie mowa poetów, żalostnie niedoskonała, a jednak ściślejsza od wszelkiej innej mowy o tyle, o ile symbol matematyczny ściślejszy jest od straganowej plotki.

Pęk iskier chlasnął z rozmachem przez tablicę, jak rozżarzona miotła. Podciągnął szybę. Wi-

dział w niej swoje odbicie, podrygujące monotonicznie w takt tocących się kół. Spodobał się sobie. Opalona, surowa twarz jak maska z błyszczącej skóry. Siwizna wokół wysokich skroni akcentowała się jaskrawo, a zmarszczki przedłużające wykrój oczu i głębokim nawiasem ujmujące usta zdawały się wyrzute zadumą mądrości i skurczami nieodwołalnych decyzji. Uśmiechnął się sceptycznie. — Mam wygląd „atrapę“ — pomyślał. — To co miało dokonać się wewnątrz, stało się przedwcześnie szyldem, reklamą nieistniejącego towaru. — Mimo tej refleksji przyglądał się sobie z przyjemnością. Rozpięta na szyi wiatrówka stanowiła w obrazie rys młodzieńczy, wobec którego brudzy i białe włosy zdawały się świadczyć raczej o harcie niż o zużyciu.

— Czas nie bardzo dał mi radę — ucieszył się. — Zresztą czterdzieści siedem lat, to jeszcze nie starość. Szczególniej dla pisarza. Można właściwie zacząć wszystko od nowa. — Miał właśnie ten



zamiar. Jego nazwisko, które przed samą wojną zaczynało w pewnych kołach wyrabiać sobie dyskretny rozgłos, uległo w ciągu ostatnich lat zupełnemu niemal zapomnieniu. Teraz zaczynał prawie jak debiutant. Zaczynał wprawdzie wznowieniem, ale jego dalsze plany nie miały korzeni w przeszłości. Tak mu się zdawało. Świat odsłaniał mu się na nowo — trudniejszy niż dawniej, ale tym bardziej godny walki. Walki! — Ściągnął brwi i z upodobaniem obserwował pionową szramę odwagi, znaczącą czoło przesyte ognistymi prętami twarzy w szybie. Nagle zawstydził się. Wiedział przecież co sądzić o swojej odwadze. Ukradkiem rozejrzył się po korytarzu, czy kto nie podparzył tej żenującej pantominy.

O dwa okna dalej stał Mieczysław Borkowski, autor reportaży i paru książeczek. Wiedział go parę dni temu, jak w jakimś robawionym i eleganckim towarzystwie wychodził z „Gongu“. Umknął wtedy w popłochu na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć niewątpliwej indagacji na temat jego zdania o ostatniej powieści Borkowskiego. Poza tym w ogóle bał się rozmów z kolegami literatami. Szczególniej z tymi, którym pisanie i wydawanie książeczek przychodziło bez trudu. Czuł się w ich towarzystwie jak zły uczeń, tolerowany dla dużych zdolności, ale lekceważony zarazem i traktowany z góry. Maruder, leń, twórczy impotent — sam sobie nadawał te epitety, próbując zobaczyć siebie ich oczyma.

Nie przypuszczał, że spotka Borkowskiego w pociągu. Niespodzianka była przykra, zwłaszcza w tej chwili. Tak przykra, że sam dziwił się temu. Wydało mu się, że los z satańską złośliwością wy-

## Jan Józef Szczepański

brał tego człowieka spośród wszystkich innych, aby zburzyć jego spokój. Niechęć, którą odczuł w pierwszym momencie, rozpaliała się gwałtownie w nienawiść, stawała się jakąś urzekającą siłą. Był cały w jej władzy, wkrótce już rozkoszował się nią, nie zgodziłby się jej wyrzec. Przeżywał to nawet fizycznie. Maleńkie ciarki wstępu przebiegały jego ramiona i plecy. Tak właśnie dzieje się w skórze podrażnionego psa, kiedy sierść jeży się naelektryzowaną szczotką wrogości. Doskonale rozumiał konieczność warczenia. — Bałwan! — pomyślał z wściekłością, z jaką niekiedy ludzie reagują na natrętów, mących chwile ich samotnych zadumań. Dla niego wprawdzie ta chwila obumarła już wcześniej. Sam zabił ją swoją leniwą próżnością. Wiedział o tym jakoś tak, po cichu, ale z tym większą zacieklnością obwiniał intruza. Dlatego także nie próbował ucieczki. Przepadło i tak. Z rodzajem satysfakcji wmawiał sobie, że sama obecność tego człowieka psuje mu wszystko.

Tamten stał spokojnie przy oknie. Nie robił nic, nie mówił nic, właściwie nonsensem było mieć do niego pretensję. A jednak był nie do zniesienia. Czarny kapelusz — sombrero, sztywny i arogancki, zsunął na tył głowy, na puszysty wałeczek długich, przystrzyżonych równo nad karkiem włosów. Garbił się trochę, z umyślną nonszalancją. Marynarka z prażkowanego welwetu (oni to nazywają „sztruks“ — pomyślał wzgardliwie) spływała mu luźno z ramion. Wąskie spodnie kończyły się grubym mankietem troszkę nad kostką. Półbuty miał zamzowe, na wysokiej podeszwie z korka. Jedną nogę oparł na blaszanej osłonie rur, ogrzewających korytarz. Lewą dłoń miał w kieszeni, prawą obejmował głowicę prostej fajeczki. Czuł było zapach dobrego, amerykańskiego tytoniu. — Zarobił na tej swojej bzdurze — irytował się. — Teraz zgrywa lorda! I jak można robić z siebie coś takiego? Te włoski, te buciki.. Gigolak! Jak to teraz nazywają takich? Dżoler. Tak, dżoler.

Obserwował go z wznoszącą, nieprzychylną uwagą. Ostro zarysowany profil o pochyłym czole i cofniętej brodzie, usta, rozchylające się z rybnym namysłem za każdym kłębkiem wypuszczonego dymu. Oczy zmrużone z bezczelną pewnością siebie, wpatrzone w suńcący za oknem świat bez zainteresowania, bez śladu zdumienia czy zgrozy. Tak patrzy się na rzecz własną, poznaną do przesytu, wyjałowioną z tajemnicy codziennym użytkiem; na jakiś nudny, domowy mebel, gdy w wolnej chwili człowiek zastanawia się od niechęci, jakby go jeszcze wykorzystać. Tu, na tej półce mogłyby stać kieliszki, a tu wazon od ciotki, z którym nie wiadomo co zrobić.

Poczuł się dotknięty, jakby kto zbył wzruszeniem ramion rzecz szczególnie drogą jego sercu. Spojrzył znów w okno i stwierdził, że zły czar działa. Noc zwietrzała. Uszła z niej cała głąb, cały aromat, wszystko poza widomymi dla oka kształtami zwykłego krajobrazu. — Jakby kto czarę wina rozcieńczył wiadrzem wody — pomyślał i zaraz zlapał się na trywialności tego porównania. Jak

zawsze słowa padały obok, nie dosięgały istoty zjawiska.

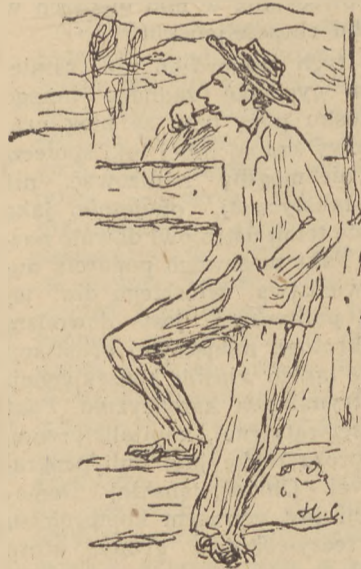
— Pan też był w Zakopanem, panie kolego? Nie widziałem was nigdzie. — Głos był przykry, krzykliwy.

Odwrocił się i uśmiechem przesadnie ciepłym, mającym wyrażać miłe zaskoczenie, odpowiedział na zdawkowy uśmiech Borkowskiego.

— Nie mieszkalem w Zakopanem. Chodziłem po górach.

— Ach tak. Racja: słyszałem, że swego czasu byliście asem taternictwa. Wraca się do dawnego nałogu, co?

Wiedział, że nie było w tych słowach złośliwej intencji, ale zabolęły go dotkliwie. Przypomniał sobie scenę sprzed trzech dni. W gwarnej sali schroniska jakiś młody człowiek w wywinętym na szyi swetrze wskoczył na ławkę i wołał: „Halo! Brakuje nam gościa do drugiej liny. Może kto reflektuje? Zachodnia ściana Niznich Rysów. Łatwa rzecz. Wychodzimy za kwadrans. Znał tę ścianę. Robił ją przed piętnastoma laty, kiedy nie uchodziła jeszcze wcale za taką łatwą. Miał z niej bardzo piękne wspomnienia. Drgnął na swoim krześle, uniósł się lekko. Impuls aby wstać był tak silny, że kiedy opanował go wydało mu się, iż siada z rozmachem z całej swej wysokości, chociaż dźwignął się zaledwie o centymetr czy dwa. Młody człowiek wodził po twarzach uważnym okiem. Zatrzymał na nim badawcze, zachęcające spojrzenie. Może wiedział kim jest? Może to było „świadome wezwanie? Wciąż jeszcze mógł przyjąć propozycję. Poczuł w palcach drobniutkie drżenie. Pokusa i obawa walczyły w nim męcząco. Podołałby na pewno. O to się nie bał. Gorszy był ten inny niepokój, którego przyczyn nie potrafił na razie sprecyzować dokładnie. Chłopak w swetrze mógł mieć dwadzieścia lat, dwadzieścia dwa najwyżej.



Po raz pierwszy uświadomił sobie tak jasno, że różnica pokoleń to coś znacznie poważniejszego, niż sama różnica wieku. Tam na ławce stał przed nim niemal cudzoziemiec. Człowiek z którym porozumienie się było sprawą wysoce problematyczną. Czy można ryzykować wyprawę w kraj swojej młodości z kimś, z kim nie ma się wspólnego języka? Przestraszył się, że w tym towarzystwie nie znajdzie już na skalnym szlaku tego, po co dawniej wyruszał z takim zapałem, że ową zdobycz zagarnął mu sprzed nosa nie tylko sprawniejsze mięśnie, ale i serca weselsze i bardziej śmiałe niż jego. I jeszcze bał się, że pragnąc

# RÓŻDŹ

im dorównać zaprze się swej własnej radości, a kłamać będzie radość cudzą. Bo — czuł niejasno — ten osobliwy łup nie należał się jemu. Mógł jeszcze patrzeć jak biorą go inni, a na to trudno się było zgodzić. Raczej wyprawić się samotnie, po kryjomu, jak złodziej, aby w razie czego kapitulować bez świadków.

— No, nie ma amatora? — pytał młody człowiek. Znów utkwiał w nim wyczekujące spojrzenie. Pochylił głowę, wiedząc, że jeszcze chwila, a nie potrafi się oprzeć. Odetchnął z ulgą kiedy wreszcie ktoś powstał w kącie sali.

Chodził potem sam. Przygodni towarzysze w schroniskach spoglądali na niego z niedowierzaniem i szacunkiem, kiedy opowiadał im swe drogi. Grań, na której zwykle ubezpieczano się liną pieszędzi w pojedynkę. Nie każdy młody odważyłby się na to. Zasłużył sobie na słowa podziwu i uznania. Ale nie o to przecież chodziło. Mógł być przyjać bez wstydu, bo i tak nikt nie rozumiałby jego zawodu. Trud walki był już tylko trudem. Przepadł gdzieś nieopisany dreszcz szczęścia, drapieznego uniesienia przygody, tego jedynego w swoim rodzaju pijaństwa przestrzeni, wysokości, własną kruchością i własną siłą, którego analizowanie uważał dawniej za rzecz poniżej swojej godności. Powrót do nałogu. Możliwe. Alkoholikowi wódka też podobno nie smakuje. Do dawnego nałogu...

— Wraca się.. tak; w miarę możliwości.

Powiedział te słowa tak cierpko, że Borkowski speszył się i zakłopotanym ruchem wyjął z ust fajkę.

— No, no — bąknął zachęcająco — chciałbym mieć wasze siły. Dla pisarza to idealna rzecz taki generator. Widzicie, mnie brak „szwungu“ do tego. Nie bawi mnie.. trudno. Ludzie mnie bawią, ale z ludźmi się nie odpoczywa. Przynajmniej rzadko. Może z całkiem prostymi. Tylko, że na tych, zawsze trochę szkoda czasu. Chyba, że bierze się ich na warsztat. Ale to znowu jest praca. Nie macie pojęcia jak namordowałem się z moją ostatnią powieścią. Czytaście?

Skinął powściągliwie głową. — Oczywiście. — (Czytał jeden fragment, kiedy rzecz ukazywała się jeszcze w odcinku, a później, siedząc w ustępie, kawałek recenzji z przedartej strony jakiejś gazety). Borkowski czekał na dalsze wynurzenia, a milczenie rozmówcy męczyło go i niepokoiło najwyraźniej. Fajka mu zgasała. Zapalał ją pochylwszy rondo kapelusza. Nie szło mu, zepsuł cztery zapałki i poparzył sobie końce palców. Było w tym coś rozbrajającego, jakiś rys dziecinnej naiwności, nieoczekiwany i świeży w zestawieniu ze zblazowanym wyglądem i pewnym siebie sposobem bycia. Nienawiść w stosunku do niego była stanowczo uczuciem zbyt wielkiego kalibru. Armata na królika.

— Biedny dureń — pomyślał, decydując się już w duchu na wybrnięcie z sytuacji pierwszym lepszym kłamstwem.

Borkowski nie wytrzymał. — Co o niej myślicie? — zapytał, patrząc w okno. — Bardzo zależy mi na waszym zdaniu. Na zdaniu zupełnie szczerem.

# K A R Z

Czuł, że powinien kłamać na „poziomie“, w sposób interesujący, nie przynoszący ujmy jego wyobrażeniu o sobie, ale nie odpowiedniego nie przychodziło mu do głowy. Skapitulował.

— Żywo napisane — rzekł. — Z rozmachem.

Były to słowa tak dalece pozabawione jakiegokolwiek stosunku do rzeczywistości, że nie miały sensu nawet jako kłamstwo. Styl Borkowskiego nie dał się ująć w najbanalniejsze chociażby kategorie oceny: bo właściwie trudno tu było mówić o stylu. Od biedy dałoby się może niechlujstwo nazwać eufemistycznie „rozmachem“, ale niechlujstwo to nie było wynikiem twórczej niecierpliwości. Pospolite, żalodne paractwo — nic więcej. Wszystko to miało przebieg automatyczny, robiło wrażenie jakiegoś podkolorowanego kalkomanią wykresu. Dobór środków nie odgrywał prawie roli. Sztuka pisania ograniczała się do pewnej wprawy w stosowaniu schematów, których tyle nagromadzono w rupieciarstwie literatury, że miliony Borkowskich mogły do końca świata bawić się nimi w swe nieszkodliwe układanki.

— Lekko się czyta — dodał, powstrzymując drgnienie złośliwego uśmiechu, bowiem tym razem w pewnym sensie nie odbiegał od prawdy. Istotnie, żadna myśl nowa, żadne indywidualne spostrzeżenie nie zmuszało do wysiłku w czasie tej lektury.

Borkowski uspokoił się. Nie był wymagający. Świat prawdziwy był dla niego widocznie równie nieskomplikowany i jednoznaczny jak świat jego literackich symbolów. Ponieważ jednak szablon krytyki powinien zawierać także i pewne „ale“, z którymi można by polemizować, upomniał się o tę brakującą część należności.

— Macie na pewno jakieś zastrzeżenia. Powiedźcie otwarcie. Dla mnie to ważniejsze niż pochwały. Człowiek nie ma jednak odpowiedniego dystansu, żeby sam dostrzec wszystkie braki.

Zastrzeżenia. Rzecz wydawała mu się tak dalece obojętna i niepotrzebna, że formułowanie szczegółowych zastrzeżeń uważał za zbyteczny trud. Jedyne poważne zastrzeżenie mogło się odnosić do faktu, że taki Borkowski w ogóle ma jakieś pretensje pisarskie. Czy można mieć zastrzeżenia natury artystycznej do pracy jarmarcznych fotografów? Tłumił pęczniące mu w piersi ziewanie, przy czym twarz jego nabrała wyrazu głębokiego skupienia.

— Psychologia pańskich postaci wydaje mi się nieco zbyt uproszczona — rzekł, myśląc o owych płaskich makietkach, oznaczonych dla rozróżnienia takim czy innym nazwiskiem. Wszystkie one poruszały się jak fantomy po nieprzezroczyście, płytkim dnie fabuły, mówiły jednakowoż (można było wyobrazić sobie eliptyczne obwódki wokół zdań wychodzących z pomiędzy ich warg, jak na rysunkowych historyjkach, ukazujących się w brukowej, prasie), a jeśli coś czuły, opis tego procesu brzmiał jak oznaczony gwiazdką odnośnik. Próby ożywienia ich wypadły wzruszająco natłwione. Ręce robotników były oczywiście żyłaste, i zaraz widziało się te żyły nabazgrane gorliwie kredką na karto-

nowej foremce ramienia. Dyrektor fabryki nosił złote spinki u mankietów, a jego piękna córka śmiała się „beztroskim, perlistym śmiechem“. Żadna z tych figurek nie rzucała cienia, ani nie zatrzymywała na sobie światła, żaden głos nie miał echa i żadne spojrzenie nie usiłowało przeniknąć poza ekran, na którym bohaterowie błahego dramtu wali się niczym amebą na szybce laboratoryjnego preparatu. Wszystko to razem było odbarwioną, anemiczną kropelką istnienia, wyciągniętą z oceanu życia bez potrzeby i bez ambicji posłużenia się nią dla zbadania tajemnic samego oceanu.

Podczas gdy Borkowski dowodził zapamiętałe, że to nie uproszczenia, lecz celowa prostota, ponieważ psychologizm lat przedwojennych jest już nieaktualny, skrachowany i bezpłodny, myślał o przerażającym szumie owego oceanu, myślał, że zadaniem literatury i sztuki w ogóle jest przewiercanie ogłuchłych z nawyku bębneków ludzkich uszu, aby usłyszały, aby wypełniły je zbożny lek i zachwyt, aby na tle tej muzyki bezmiarów, rzeczy i sprawy odmieniły swoje proporcje. — Każda książka powinna być Nowiną — myślał. — Powinna móc zmienić życie ludzkie. Tylko wtedy warto napisać ją i przeczytać.

Przez chwilę odczuwał pokusę powiedzenia tego Borkowskiemu, ale kapelusze sombrero, fajka i „sztruksowa“ marynarka wydały mu się znów agresywne i pewne siebie. Nie warto było się trudzić, młotać przysłowiowe perły przed wieprze.

— Wy też podobno coś wydadecie — rzekł nagle Borkowski, — coś nowego?

Nie. Wznowienie jednej z moich starszych rzeczy — odparł nie chętnie. — Właśnie jadę podpisać umowę. — Nie miał ochoty rozwodzić się na ten temat przed tym pajacem.

— Można wiedzieć co to takiego? — zainteresował się Borkowski. — Czyżby „Furor astralis“?

— Tak.

— To świetnie. Świetnie! Nie macie pojęcia jak mnie to cieszy. Naprawdę, nie chcę wam mówić komplementów... zresztą to jest historia nie mająca nic wspólnego z uprzejmością. Muszę wam zrobić zwierzenie, że w latach gimnazjalnych byliście moim mistrzem. Teraz na pewno będę czytał tę książkę inaczej, ale wtedy była dla mnie objawieniem. Wiecie jak to jest? Przychodzi taki okres, że czyta się wszystko bez wyboru, z samej ciekawości i tylko brzuch od tego pęcznieje, jakby się człowiek opychał kartoflami. Aż nagle, stop! Coś zapiekło na języku. Znać to? Chwyta się smak i sens, zaczyna się wybredzać, odkrywa się w sobie nową wrażliwość, pod wpływem której świat zmienia barwę...

Spojrzał ze zdumieniem, prawie z przestachem w przystojną twarz Borkowskiego, w ciemne oczy, ożywione teraz błyskiem serdecznego uniesienia. Nigdy nie przyszłoby mu na myśl, że ten człowiek mógł czytać jego książkę. Cóż dopiero zrozumieć ją i pokochać!

— Obawiam się — mówił tamten, że kiedy znów wezmę ją do ręki, nie zrobi już na mnie takie-

go wrażenia. Będzie mnie raził je mistycznym, pewna afektacja niedomówień, ten jakiś uśmiech mędrca — nie gniewacie się, prawda? — który dawniej tak ogromnie mnie pociągał. Ale to nie będzie miało znaczenia. Książki, to trochę jak kobiety. Można przez całe życie mieć dla nich wdzięczność za to, że kiedyś oczarowały nas na moment.

Chciał mu przerwać, powiedzieć coś, co zmieniłoby rzeczywisty stosunek między nimi, ale instynkt nie podsuwał mu żadnego sposobu, a słowa które sobie układał mogły tylko popsuć wszystko jeszcze bardziej.

— Może pojmiecie teraz ciągnął dalej Borkowski — dlaczego tak bardzo zależy mi na waszym zdaniu i dlaczego tak cieszę się waszą przychylną oceną.

Ogarnął go wstyd i niesmak tak wielki, że spuścił głowę, nie mając odwagi spotkać się ze wzrokiem młodego człowieka. Czuł się jak oszust. Pogardliwie i zazdrośnie strzegł swoich pereł i oto dokonali targu: rzucił garść trocin w zamian za bryłkę szczerego złota. Ale — do diabła! — nie chciał tego przecie — bronił się gniewnie sam przed sobą. To był przypadek. Nie miał zamiaru niczego wyłudzać. Pragnął ocalić swój spokój. Czyż to jego wina, że tam



ten wybrał sobie taką właśnie chwilę? Wracając teraz niechęć, zaprawiona goryczą osobistej urazy. Borkowski dopuścił się niedyskrecji. Nie miał prawa wystawić go na taką próbę.

Im bardziej gniewał się na Borkowskiego, tym bardziej zły był na siebie. Demaskował się we własnych oczach, a działało się to nie z jego inicjatywy i dlatego było nieznośne. Usiłował znaleźć jakiś przyjemniejszy aspekt tej sprawy, aby poprzeć czymś uśmiech, którym zapewniał Borkowskiego o swych przyjaznych uczuciach.

— Widocznie jestem jednak do brym pisarzem — myślał — skoro nawet temu bubkowi potrafiłem na chwilę otworzyć oczy. — Nie, to nie była żadna pociecha, ani komplement dla nikogo. Widocznie mam coś do powiedzenia — formułował to inaczej — skoro tak niedoskonała książka jak tamta, potrafiła do kogoś przemówić swoją niedojrzałą jeszcze intencją.

O to właśnie chodziło. Patrząc na rzecz z tego punktu widzenia był Borkowskiemu niemal wdzięczny. Umacniał się w wierze w swoje możliwości. Bo przecie wszystko wskazywało na to, że te raz powinien pisać znacznie lepiej. Mijał okres oświecenia, wywołanego wstrząsami wojny, a za-

sób zdobytych doświadczeń można już było liczyć po stronie zwycięstw. Wiele spraw, które dawniej wydawały się abstrakcją, domysłami literackiej fantazji, skonkretyzowało się na tle przeżyć ubiegłych lat. Zgiełk wojny, bezwstydne obnażenie wartości wszelkich „prawd“, którymi zachłystywały się głośniki z końca w koniec europejskiego kontynentu i straszliwa, apokaliptyczna śmierć jako natychmiastowy sprawdzian wszelkich ludzkich poczynań i urojeń — oto nauka cenniejsza niż wszystkie filozofie, niż wszystkie bezpieczne rozważania kawiarnianych mędrców. Mając ją stale w pamięci można będzie bez wahania wskazywać palcem: to prawda, to fałsz; to ważne, to błahe. A na tym przecie polega rola pisarza. To jest właśnie sposób otwierania uszu ludzkich na wszystko obejmujący, potężny szum oceanu, wobec którego jazgot ich morderczych sprzeczek staje się bulgotem strugi pomyli.

Miejsce pod oknem, na którym wychodząc z przedziału położył swój chlebak zajęła bezceremonialnie jedna z dwóch wymalowanych panis w średnim wieku.

Gdy znów pojawił się w drzwiach, wyszczerzyła na niego przymilnie zęby z pomiędzy warg lepkich od szminki. — Pewnie mnie pan wyrzuci — zaszczębiała, składając błagalnie dłonie, przy czym ostre koniuszki karmirnowych paznokci zachrobetały o siebie, co skłoniło go do refleksji, że tego rodzaju manicure unie możliwiać musi modlitwę. — Niech pan tego nie robi, proszę, proszę. Ja strasznie lubię siedzieć przy oknie.

— Proszę bardzo, niech pani siedzi — odparł ze zmarszczonymi chmurnie brwiami. — Mnie wszystko jedno.

— Kochany człowiek z pana. Niech pan nie myśli, że jestem taka bezczelna z natury, ale w tym wypadku od razu wiedziałam, że pan mi tego nie weźmie za złe. Sam wygląd pański wzbudza zaufanie. Tak, tak, ja poznam gentlemana na pierwszy rzut oka. — Złotnie pogroziła mu palcem, jakby w wymuszonej na nim uprzejmości dopatrywała się męskiej kokieterii.

Mruknął coś, zakłopotany i siadłszy obok, wy dobył pośpiesznie z chlebaka książkę. Był to zniszczony egzemplarz „Furor astralis“, jedyny, który udało mu się odszukać w jakiejś małej antykwarni. Otworzył na chybił-trafił.

„Z dolnego końca polany dobiegało drobne, zająkliwe naszczekiwanie lisa. Słyszał jej wyraźnie manipulując przy oczniku swojej lunety, wycelowanej w bliźszą od gwiazd i mrozu kwadracik nieba, zamknięty w czarne ramy gontów. — Marny sprzęt — myślał, jak zwykle, kiedy z sercem pełnym niepokoju sztykował się w podróż po wyboistych bezkresach mlecznej drogi. Sprzedał morgę pola w dolinie aby nabyć ten „teleskop“ od zakopiańskiego szarlatana, pokazującego letnikom za parę groszy krzyż na Giewoncie. Śmieli się z niego we wsi, że dla kawałka rury zrobił się dziadem. Niech się śmieją. Oni dla kawałka zmieszanej z gnojem ziemi rzekli się nieba i nieprzebranych jego bogactw. Ale sprzęt był marny. Rower na jazde, do której trzeba samolotu. Za całą wieść, od potoku do potoku, nie kupiłby odpowiedniego narzędzia.

Lis szczełał gdzieś bliżej, między pniakami zeszłorocznej poręby. Odjął zgrabiałe palce od mościeżnego pierścienia i słuchał z uwagą. — Może się złapie, bestia? — nastawił oklepiec z przynętą

koło wielkiego wykrotu przy źródle. Miejsce było dobre. Ale z lisem; nigdy nie wiadomo. Cichutko odsunął lunetę w kąt otworu i wyjrzał. Szarawa biel, przyprószone tu i ówdzie srebrnym pyłem, rozciągała się aż po czarną palisadę lasu, jak zmaterializowana esencja ciszy. Szczekanie umilkło, żaden cień nie porusza się koło źródła. Tylko od wysokich gwiazd ku ziemi sypał się niewidoczny, lodowaty kurz. Czuł jego łaskotanie na policzkach i dłoniach i zda wało mu się, że słyszy jego krystaliczny chrzęst. — Z lisem nigdy nie wiadomo — pomyślał. Nagle zachłysnął się przytłumionym owego lęku, który czcił w sobie, jako najcenniejszy przejaw istnienia. — A cóż wiadomo? — zamysły skradającego się nocą zwierzęcia, nieruchome trwanie lasu i cisza uspionego w śniegu polany — wszystko to było przybytkiem tajemnicy, równie nieprzeniknionej jak zawrotne sekrety mlecznej drogi“.

— Taka już jestem — przekonywała swą przyjaciółkę paniusia, która wyznała go z jego miejsca pod oknem, — przede wszystkim kim lubię szczerość. Wał prosto z mostu co myślisz, a nie kręć tak i siak. Nie cierpię kręcenia; powiedziały jej wprost...

Próbował nie słyszeć, skupił się wyłącznie nad tekstem. Zdawało mu się, że czyta słowa innego człowieka, ale, że słowa te opisują sprawy bardzo dobrze mu znane. Ciekaw był dalszego ciągu, a równocześnie wzdrgał się przed obróceniem strony, bo wiedział, że czeka go rozczarowanie. — Jakże łatwo ołsniewać ludzi tajemnicą! — myślał. — Zmobili zować niebo, gwiazdy, mrok i ciszę i gestem wtajemniczonego kapłana przyłożyć palec do ust: psst! podziwiającie. Niech wam ciarki chodzą po skórze...

— Spotkałam ją wczoraj na Gu bałowce. Fryzura: taka! Zamszowa kurtka — ostatni krzyk; spodni flanelowe, szare, no, mówię ci, każdy jeden szczegół! prima sort. Wprawdzie krzywych nóg nawet najlepszy krawiec nie wyprostuje, ale poza tym bóstwo, da ma. Uperfumowana, wyondulowana, fantastyczne rzęsy... myślałam, że zdechnę ze śmiechu, jak Boga kocham.

— Cóż chcesz — rzekła przyjaciółka, wydychając zjadliwie długą smugę dymu — wielka dyrektorka! Może sobie pozwolić. — Chudymi, niebieskawymi palcami poprawiała wysoko upięte, farbowane na rudo włosy, które poprzez brudno-zielonkawo odcienie usiłowały rozpaczliwie odnaleźć swój pierwotny kolor.

— Pamiętasz jaki był kocmołuch — mówiła pierwsza, pudrując sobie koniec nosa przed lustrem kciem srebrnej puderniczki. — No więc... z początku zdębiałam, myślałam, że mnie oczy mylą. Ale jednak widzę: ta sama gęba, te same krzywe kulasy — no, nikt inny, tylko ona.

Pod opuszczonymi powiekami usiłował zatrzymać obraz, z którego wyrosła ta literacka fikcja. Wizja mąciła się i falowała jak od bicie w taflę jeziora, w które ktoś rzuca bezmyślnie oberzynę, grudki błota, niechlujne, na nic nie potrzebne odpadki. Mimo całego wysiłku nie potrafił odgrodzić się od jazgotu głupiej rozmowy — jej treść budziła w nim jakieś miomowole, obmierzenie zainteresowania. Wspomnienie i rzeczywistość przeplatały się męcząco, drwiąc z siebie nawzajem, nie dając wspólnie żadnego, zrozumiałego sensu.

(ciąg dalszy na str. 10-tej)

Jan Czekanowski

## ZE WSPOMNIENI AFRYKAŃSKICH

W tych odległych czasach, nie znających samochodu, nie mówiąc już o samolocie, dorzecze Uele było jedną z najodleglejszych peryferii Niezależnego Państwa Kongo, którego inicjaty E. I. C. złośliwie odczytywano: Esclavage, Ivoire et Caoutchouc. Podróż do źródeł Uele, licząc od wyjazdu z Antwerpii, trwała prawie cztery miesiące, a koszt przesyłki pocztowej wynosił dolara (5 fr.) od kilograma i co gorsza, okradano ją zwykle w drodze, zwłaszcza, gdy była to wódka. Belgowie wtedy jeszcze niechętnie szli do Konga. Wskutek tego bardzo liczni byli tam cudzoziemcy, przede wszystkim Skandynawowie, a też i Włosi, przeważnie ludzie młodzi, poszukiwacze przygód, realizujący marzenie o wielkiej podróży na skraj świata. Byli też ludzie inni, tak na przykład w dorzeczu Ituri spotkałem Bułgara, dawnego komisarza policji z Warny, i Żyda z Odessy. Posiadanie dużego zapasu wódki, gdyż w samotności jej nie piłem, otwierało mi serca wszystkich. Ułatwiała mi to zbieranie materiału obserwacyjnego, a znajomość plotek lokalnych wzbudzała zaufanie, tak, że czułam się równocześnie Europejczykiem różnych narodowości i Murzynem.

\*\*

Gdy kończyłem moje prace w dorzeczu Uele, dopływu Ubangi i przygłowywałem się do przedarcia się przez las dziewiczy do górnej części Ituri, odwiedziłem małego władzę szczepu Mangbele nazywanego Meritu. Zawdzięczałem mu szereg informacji nader cennych, gdyż umożliwiły mi zorientowanie się w bardzo skomplikowanych stosunkach ludnościowych tej części sudańskiej rubieży. Jak wielkie były te trudności o tym świadczy najlepiej fakt, iż dopiero moje zdjęcia umożliwiły Bernardowi Struckowi zorientowanie się w informacjach zebranych przez Emina-Paszę, który jako gubernator tej części Egipskiego Sudanu zdawałoby się rozporządzał największymi możliwościami. Tajemnicą mojego powodzenia było to zaufanie, jakie u Murzynów zdobyć zdołałem. Wobec tego, że Meritu był ze mną bardzo szczery, a nie należał do zbyt entuzjastów panujących stosunków ustabilizowanych przez Niezależne Państwo Kongo, zapytałem go, czy za czasów okupacji egipskiej nie było lepiej. Po krótkim namyśle odpowiedział mi bez wahania, że wtedy było znacznie gorzej, gdyż Kuturia (Turcy) porywali wszystkie kobiety, jakie tylko dopadli, a teraz Bula Matari zarządził, że białemu wolno wziąć sobie tylko jedną kobietę i tym jest bardzo dobrze. To porywanie kobiet uważał on za krzywdę bardzo wielką, znacznie większą aniżeli dopiero na drugim miejscu wspomniany fakt, że jeden z oficerów egipskich zajął się wytworzeniem eunuchów, stanowiących bardzo cenny artykuł handlowy, gdyż wielu umierało podczas operacji. Materiał stanowił porywani chłopcy murzyńscy, późniejsi stróżowie mułmańskich haremów. Jeśli się do tego doda, że oficerem tym miał być Hawash-Efendi, późniejszy major, a zarazem i zaufany doradca Emina-Paszy, to rzeczowe ustosunkowanie się Meritu nabiera zupełnie szczególnych kolorów. Gdy zapytałem o pracę dla białego, to powiedział mi, iż istotnie jest ona bardzo ciężka, gdyż ludzie muszą iść głęboko w las na zbieranie kauczuku, a Bergitji (Belgowie) wymagają, by się ciągle pracowało, ale to jest dobre, że człowieka nie napadną sąsiedzi. Przecież dawniej Alimas, władca sąsiedniej wioski szczepu Bari, nie ścierpałby tego, że on postawił sobie tak piękną halę, w której siedzimy spokojnie przy marafu (winie palmowym). Na pewno zaraz po jej postawieniu zjawiliby się, by

ją zniszczyć. Teraz Bula Matari na to nie pozwala. Tym Bula Matari był Leopold II, król Belgów i suweren Niezależnego Państwa Kongo. Na niego krajowcy przenieśli bowiem afrykańskie nazwisko Stanley'a, organizatora Konga, który to miano otrzymał od krajowców po wysadzeniu jednej ze skał w korycie rzeki Konga, uniemożliwiającej żeglugę. Oznacza ono „wysadzaczkę”.

Meritu postawił sprawę porywania kobiet na pierwszym miejscu z tego powodu, że w tej części dawnego egipskiego Sudanu kobieta jest jedynym zwierzęciem domowym, a tym samym i najważniejszym dobrem, jakie mężczyzna posiadać może. Jej praca zapewnia jego dobrobyt, gdyż nie zmuszony do pracownia dla obcych spędza czas na picie wina palmowego, paleniu fajki i robieniu plotek, graniczących z wielką polityką. Posiadanie kobiet jest podstawą miejscowego ładu społecznego. Władcy gromadzą je w swoim ręku i rozdając je w lenne posiadanie uzależniają podwładnych. Każdy oczekuje, że władca w łaskawości swej, odwiedzając się za oddawane usługi obdarzy go kobietą. Posiadający więcej kobiet, tego rodzaju darami uzależnia innych od siebie. W ten sposób ustala się ta automatyczna regulacja miejscowego życia, że ludzie, dochodzący z wiekiem do wpływu, posiadają najmłodsze kobiety, gdy młodzież na początku swojej kariery musi się zadowolnić starszymi. Jednym słowem, starzy mają młode żony, a stare młodych mężów. Wszyscy są utrzymywani w zależności tym, iż kobieta dana bywa też i odbierana, gdy jej posiadacz popada w miłość u swego donatora. Z tego powodu administracja europejska jest tu stale zaabsorbowana załatwianiem sporów, wynikających na tle posiadania kobiet. Umiejętność załatwienia tych spraw decyduje o autorytecie urzędnika. Ułatwia mu to bowiem wydobywanie świadczeń od administrowanej ludności. W stępowych częściach Sudanu, gdzie podstawą dobrobytu stanowi posiadanie bydła, zupełnie taką samą rolę, jaką w dorzeczu Uele odgrywa kobieta, tam odgrywa krowa. Ona stanowi tam podstawę systemu lennego. Nawet w krajach rolniczych, posiadających bydło, gdzie kobieta jest w wielkiej cenie, jak na przykład w północnej Ruandzie, osiąga ona zaledwie wartość krowy i mówi się tam o kobietach jako o bezrogich krowach. Jest rzeczą znaną, iż w dorzeczu Uele Europejczycy tak ulegli murzyńskim sugestiom w sprawie swojego stosunku do kobiety, że stała się ona również i podstawą dyscypliny wojskowej. Dostarczając rekrutów wioski murzyńska musi do każdego rekruta dodać kobietę. Ona jest jego gospodynią (menagerą). Gdy żołnierz zaniedbuje się lub jest niekarny, karzą go. Gdy paka (boite), jako kara dyscyplinarna, nie wystarcza, winowajca dostaje baty. 10, później 15 lub 25. Wreszcie wymierzają mu 50 w dwu ratach, w następujących po sobie dniach. Gdy i to nie daje pożądanego wyniku, odbierają mu „zonę” i dają bezżennemu, który się najlepiej sprawował, mając tego rodzaju nagrodę na oku. Uwalnia go bowiem ona od wielkiej ilości trosk życia codziennego. Pozbawiony kobiety musi się zaś poważnie zastanowić nad swoim sprawowaniem, by w przyszłości, gdy podobna katastrofa spotka koleżkę, otrzymać jego gospodynię. Takie stosunki panowały w dorzeczu Uele

w czasie mojej podróży w roku 1908. W tym samym czasie w Ugandzie (właściwie Bugandzie) i przyległych krajach afrykańskiego Międzyrzecza, o organizacji społecznej, opartej na lennym władaniu ziemią, chrześcijaństwo czyniło tak wielkie postępy, że są one obecnie krajami chrześcijańskimi. Natomiast na terenie Sudanu nie osiągnął on wiele, gdyż przy organizacji społecznej, opartej na lennym władaniu kobietami, nie może on współzawodniczyć z islamem. Chrystianizacja, wysuwając na miejsce naczelne ucłowieczenie kobiety, rozbija podstawy dawnego społecznego ładu.

\*\*

Gdy po kilkomiesięcznej niebytności, spowodowanej podróżą ku granicom Konga Francuskiego przez kraj Azande (Niam-Niam) powróciłem do mojej bazy w Gumbari, nad rzeką Bomokandi, na rubieżach wielkiego lasu dziewiczego, zostałem tam bardzo serdecznie przywitany przez naczelnika sektora kapitana Jana Lemmense i naczelnika stacji p. Coensa, dwu Flamandów. Na kilka dni przedtem przemaszerował tam również towarzyszący mi starszy żołnierz z Niemieckiej Armii Kolonialnej, człowiek wyjątkowo pewny, choć o nieobiecującym nazwisku Pendakula (Kocha Jeś). Odbił on właśnie przeszło tysiąckilometrową podróż po poczcie do Tora w Brytyjskiej Afryce Wschodniej i prócz listów i gazet sprzed czterech miesięcy przytransportował również kilka skrzynek wódki. Wobec tego, że miało się już ku wieczorowi, Coens zajął się sprawami apelu, a my w dwóch z Lemmensem zasiadliśmy do aperytyfu, poprzedzającego kolację. Zdając sprawę z mojej podróży, opowiedziałem mu, że sultan Zemio, władca szczepu Azande, w poselstwie, zapraszającym do odwiedzenia go, prócz syna z wojownikami, przysłał również dwie młode i ładne kobiety, i, że te damy były tak frywolne, iż chciały mnie rozebrać na drodze tak, że tylko z trudem wywikłałem się z opresji, nie urodniwszy autorytetu białego podróżnika.

Muszę dla uzupełnienia obrazu dodać, że Murzyni niektórych szczepów wykazują wielkie przywiązanie do swoich kobiet i są o nie bardzo zazdrośni. Tak na przykład, przyczyną buntowania się żołnierzy kolumny barona Dhanisa, maszerującego przez dorzecze Ituri przeciwko Mahdytom, a zwanego przez swoich żołnierzy Fimbo Mingi (Wiele Batów) z powodu szafowania chłosta, stanowił sprzeciw ludzi ze szczepu Batetera, z głębi Konga, nie godzących się z nadużyciami władzy, popełnianych przez oficerów w stosunku do ich żon. Ten bunt nie objął jednak żołnierzy ze szczepu Hausa, z angielskiego, zachodniego Sudanu. Jako żołnierze najemni uważali się za zobowiązanych do dotrzymania umowy i gdy biali oficerowie przerażeni buntem uciekli, utworzyli czworobok i odpierali ataki zbuntowanych aż do ostatniego naboju, po czym zostali wycięci w pień. Tak sobie wysoko cenili swój honor żołnierski. Ich kości leżały jeszcze za czasów mojej podróży na równinie nieopodal Irumu. Informując mnie o tym, naczelnik tej stacji prosił mnie, bym ich czaszkami nie uzupełniał moich zbiorów. Oczywiście, zastosowałem się do jego życzeń. W jego prośbie wyczuwałem nie tylko wielki szacunek dla poległych, stawiających tak wysoko swój honor żołnierski, lecz też pewne zażenowanie, że biali oficerowie zawie-

dli tak haniebnie i czarni podoficerowie musieli objąć komendę. Zbuntowani cofnęli się natomiast po rzezi w lasy na zachód od jeziora Edward Nyanza i jeszcze w czasie mojej podróży omijano tę część lasów dziewiczych, co najmniej o promieniu dwustu kilometrów.

W Afryce Wschodniej, tak Niemieckiej jak i Brytyjskiej, jako żołnierzy najbardziej ceniono sudańskich Murzynów. Tak na przykład III batalion Kings African Rifles (Królewskich Strzelców Afrykańskich) liczył 6 kompanii i składał się w połowie z Sudańczyków. Gdy jednak w czasie powstania Somalów wysłano tam kompanię z Ugandy, a dla powiększenia jej ruchliwości nie pozwolono na zabranie na wyprawę żon, po kilku miesiącach musiano ją wycofać, gdyż żołnierzy zdziętkowała epidemia samobójstw, spowodowana tęsknotą za rodzinami. Europejczycy nie byli tak czułościwi. Przeciętny funkcjonariusz w Kongo, wyjeżdżając do Europy na półroczny urlop po czteroletnim stażu, bardzo się troskał o to, czy żona zgodzi się na jego powrót do Afryki, gdyż od tego zależało jego réengagement. Ci nieboracy bardzo zazdrościli wtedy kawalerom. Nie zapomnę nigdy mojego spotkania z podporucznikiem Flagstadem, młodym Norwegiem, świeżo zaangażowanym. Był on po raz pierwszy w Afryce, opuściwszy Europę zaledwie przed kwartałem i udawał się na swoją pierwszą placówkę, na najdalszej peryferii nad górnym Nilem. Wędrował więc w górę rzeki Uele karawanowym szlakiem. Ja maszerowałem w przeciwnym kierunku, mając na celu wyjaśnienie stosunków, panujących na granicy Francuskiego Konga. Byłem w stanie głębokiej depresji po ciężkim ataku malarii. Na dobitkę żołnierze mojej straży tylniej, towarzyszący przemęczonym i zapóźnionym tragarzom, mieli konflikt z krajowcami i strzelali na postrach. Nie mogąc dociec, jak było naprawdę, gdyż Pendakula nie było, byłem bardzo zaniepokojony ewentualnymi konsekwencjami tego zatargu. Gdyśmy się spotkali z Flagstadem, ucieszyłem się bardzo i zaprosiłem go na wieczorek. Siedząc już przy czarnej kawie i nieodrocznym pipermentie wpadłem w nastrój liryczny. Byłem bowiem mocno przemęczony moją już drugi rok trwającą forsowną podróżą, którą postanowiłem kontynuować aż do zupełnego wyczerpania posiadanych środków. W tym nastroju powiedziałem mu, że będzie tu bardzo tęsknił za swoją, tak odmienną ojczyzną. Młody Wikking obruszył się na to bardzo: Co? za Norwegię? przecież od czasu, jak władza w tym kraju przeszła w ręce kobiet, żyć tam zupełnie nie można. Na ulicy musi się pan dobrze pilnować, by się która nie wydała za pana za małż!

Licząc się ze słabością natury ludzkiej niekiedy Europejczycy, a zwłaszcza Włosi, wkładają bardzo dużo energii i ośmieszają się nawet żarliwością w pilnowaniu wierności swoich Murzynek. Gdy się zbliżał do stacji Niangara nad Uele, wyszedł na moje spotkanie szef sektora Du Pont w towarzysztwie komendanta stacji. Gdyśmy mijali pierwsze jej budynki, zsalutował nam sprężyste podoficer, trzymając w ręku pięć puszek sardynek, związanych sznurkiem. To niesie on swojej Murzynce — powiedział Du Pont, a potem dodał: Niech pan uważa, on spóźni się do stołu. Przez cały czas obiadu będzie pan słyszał grę na

harmonijce ustnej. Gdy muzyka ucichnie, będzie go podrywało, będzie się zaś uspokajał, gdy usłyszy muzykę. Ach, widzi pan, to jest nawet bardzo dobry podoficer, Włoch, Sycylianie. Jego piemoncki rodak zabrał mu Murzynkę, którą bardzo kochał. Robił wszelkiego rodzaju zabiegi, by ją odzyskać. Nie udało mu się to, gdyż ona wolała pięknego weterynarza. Przecież jest on bardzo brzydki i mały. Teraz pociesza się inną i pilnuje jej bardzo. Gdy wychodzi z domu, ona musi grać na harmonijce, gdyż wierzy, że to go zabezpiecza przed zdradą. Do stołu przychodzić musi, gdyż to jest służba. Wszyscy biali muszą tam być. On zaś nasłuchuje cały czas, czy harmonijka gra. Przecież może za nią grać kto inny. Co to, to nie. Ma świetny słuch i jest bardzo muzykalny. Wie dobrze, czy to ona gra, czy też kto inny. A więc to zabezpieczenie wystarcza? Bo ja wiem, gdyż przed kilku dniami jeden z żołnierzy brał baty za niewczesne załoty. Pod tym względem jest on zupełnie niemożliwy. Gdy go się zostawi samego na stacji, to dogłąda ćwiczeń żołnierzy, stojąc na werandzie swojego domu. Oczywiście, wyzyskałem tę sytuację. Wyjechałem mu kilka dni urlopu na zrobienie słownika szczepu Azande, do którego należała jego dama. Zrobił on to bardzo sumiennie, tak, że oszczędził mi dużo czasu i wysiłku. Był to najlepszy z moich czterdziestu słowników, stanowiących podstawę etnograficznej syntezy stosunków, panujących między Nilem a Kongo, na obszarze załączonym szczątkami różnych szczepów, wypieranych z Sudanu ku południowi.

\*\*

Opowiadał mi mój kolega ekspedycyjny dr v. Raven, jak wesoły, później z tego powodu po wielkim skandalu odwołany gubernator hrabia Puttkammer zabrał ze sobą w charakterze daktylografki swoją rzekomą „kuzynkę”, bardzo sumiennie adorowaną przez oficerów i urzędników. Gdy się zarysowało widmo katastrofy, każdy z osobna w największej tajemnicy wzdychał z ulgą, gdy za odpowiednim odszkodowaniem otrzynywał skrypt, stwierdzający, że nie będzie miała do niego w przyszłości pretensji. Dopiero po urodzeniu się Mulata wszyscy zaczęli żłorzeczyć, że się dali tak haniebnie nabrać i wstydzili się bardzo swojej dyskrecji, spowodowanej obawą narażenia się gubernatorowi.

Przytoczone fakty uoaczniają, że przy porównywaniu Murzynów z Europejczykami, reprezentanci naszej kultury nie zawsze przedstawiają się korzystnie. U Murzynów nie tak rzadko spotykamy ludzi o imponującym poczuciu honoru. Śmierć 700 żołnierzy ze szczepu Hausa na równinie Irumu nie jest bynajmniej czynnikiem wyjątkowym. Bardzo mną wstrząsnęła wiadomość o samobójstwie sultana księstwa Kyanii, starego Kahigi. Znałem go dobrze, gdyż odwiedzałem dwukrotnie w latach 1907 i 1909, na początku mojej wyprawy przed ostatecznym odmarszem ku Nilowi, którym odpłynąłem do Europy.

Gdy w roku 1917 Anglicy zgromadzili poważniejsze siły w Ugandzie i rozpoczęli ofensywę, Niemcy postanowili cofnąć się ku południowi pod dowództwem Lettow v. Vorbecka rozpoczęli swoją anabasis. Rezydentem cesarskim w Bukobie był wtedy w dalszym ciągu Willibald v. Steumer, którego znałem z czasów mojej ekspedycji i u którego poznałem starego Roberta Kocha wraz z jego młodą żoną, ponoć baletnicą, stanowiącą przedmiot naszej adoracji, gdyż wielki uczonej był tam zajęty badaniem śpiączki, wyniszczającej ludność. Przed odmarszem rezydent zebrał sultana swojego obsza-



mu, zawiadomił ich o odmarznięciu i wezwał, by się ustosunkowali lojalnie do Anglików, gdyż opór spowoduje tylko bezcelowe straty. Gdy w kilka dni później parlamentarzyści angielscy zjawili się u Kahigiego, ten zebrał swój dwór, oświadczył, że jest już stary i nie będzie umiał przystosować się do nowych warunków, wobec tego wezwał ich do posłuszeństwa swojemu synowi. Wtedy ściągnięto niemiecką flagę, powiewającą przed jego domem i stanowiącą symbol uznawania jego władzy przez Niemców. On zaś poszedł do chaty swojej „matki”. Nieboszczkę zastępowała bowiem jedna z jej krewnych. Starym obyczajem matka władcy, względnie jej zastępczyni, odgrywała bowiem wielką rolę w ceremoniale dworskim i w kulcie. Tam podano mu krowi róg z trucizną, którą wypił i wkrótce potem skonał.

Najistotniejsze zagadnienia kolonii podkują się około sprawy rąk roboczych, koniecznych do eksploatacji bogactw naturalnych kraju. Aktualizuje się ona w miarę tego, jak udoskonalenie środków komunikacji umożliwia eksport. Musi się on bowiem opłacać. W koloniach angielskich wytwarza się podaż rąk roboczych przez opodatkowanie krajowców. Kto podatku nie zapłaci, musi go odpracować. Jest to znacznie przykryjsze i zabiera niewspółmiernie dużo czasu. Wobec tego krajowiec płaci podatki. Nie są one zresztą wielkie. Za moich czasów płacono w Ugandzie i sąsiednich królestwach protektora tu po pięć rupij, to znaczy trzecią część funta od chaty. Z tego król, ściągający podatki, otrzymywał dwie rupie, a skarb kolonialny trzy. Wobec tego, że płacono od chaty, a każda żona miała własną chatę, był to podatek majątkowy, czy też dochodowy o wymiarze uzależnionym od ilości żon. Baganda wynajmowali się jako tragarze i podejmowali dalekie podróże w głąb Konga, aby zarobić na podatki. Płacono im miesięcznie trzy rupie, dając ponadto dwie rupie miesięcznie strawnego. Były to wyprawy handlarzy kością słoniową, gdyż w Uele krajowcom, po oddaniu jednego kła stacji za opłatą pół franka od kila, wolno było drugi sprzedać handlarzom. Dawniej handel kością słoniową łączył się jak najściślej z handlem niewolnikami. Kość słoniową do portów rzecznych lub morskich transportował niewolnik, którego sprzedawano tam tak samo, jak i kość słoniową. Teraz przedsiębiorca za każdego tragarza wyprowadzonego poza granicę kraju musi składać odpowiednią kaucję. Traci on ją, gdy tragarz nie wróci lub nie może się wykazać odpowiednim aktem zejścia w razie jego śmierci. Zmusza go to do troszczenia się o swoich ludzi. Dezertery są jednak karani za złamanie umowy, jeśli nie są w stanie wykazać, że wina leży po stronie przedsiębiorcy. Najbardziej zaś cenią sobie krajowcy to, że w sporach z pracodawcami rozstrzyga sąd i że nie mogą być po ojcowsku karzeni batem, jak się to praktykowało w koloniach niemieckich na przykład. Za samowolne karanie krajowców w koloniach angielskich karano Europejczyków, oczywiście o ile doszło do skargi. Bardzo często słyszałem więc utyskiwania na „demoralizującą” Murzynów „demagogię” władz kolonialnych. Te

nastroje doprowadziły Malana do władzy w Unii Południowo-Afrykańskiej i dalszą konsekwencję tego przesunięcia stanowi zapowiedziane przez niego ograniczenie praw Murzynów. Są to doraźne konsekwencje klęski Smutsa. Swoje obecne okrawane prawa Murzyni zawdzięczają zwycięstwu Anglików nad Boerami. Wtedy, aby umocnić swoją pozycję, Anglicy zaczęli się zajmować też i kształceniem kobiet oraz ich emancypacją. Podobno dzięki temu zyskali potężnych sprzymierzeńców w Murzynkach aż do ostatnich czasów bardzo patriarchalnie traktowanych.

O tym, że jednak mimo całego liberalizmu władz, Murzyn mógł i w angielskiej kolonii dostać barbarzyńskie baty, przekonałem się na skórze Djumy, pomocnika mojego kucharza. Zatrzymałem się na kilka dni w Toro, stolicy królestwa tejże nazwy, korzystając z uprzejmości p. Haldane'a, miejscowego district-commissionera, który mi oddał do dyspozycji dom, przeznaczony dla lekarza, którego ciągle jeszcze po dawnemu z wielkim namaszczaniem zastępował aptekarz. Wobec tego, że od dwóch miesięcy byłem cały czas w drodze, skwapliwie skorzystałem z tej okazji i zająłem się doprowadzaniem do porządku moich materiałów. Pewnego dnia, już po wyruszeniu p. Haldane'a w teren, wczesnym rankiem otrzymałem list od jego zastępcy, młodego de Suzy, rzekomego Portugalczyka z Goa, a w rzeczywistości prawdopodobnie anglo-indyjskiego mieszanka, gdyż już tak było w Indiach, że skrzyżowanie Anglika z Hinduską dawało Portugalczyka — w którym tłumaczył się, że nie może wyjść z urzędu, gdyż jest sam i prosił, bym tam przyszedł niezwłocznie. W korytarzu, przed pokojem, w którym przyjmowano strony, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zobaczyłem Djumę, siedzącego w kuczki, a nad nim stał żołnierz policyjny z bagnetem na karabinie. Djuma uśmiechnął się głupawo z żałowaniem, gdyż głupi nie był. Dopiero od de Suzy dowiedziałem się o co chodzi. W Toro stała kompania policyjna, złożona z Sudańczyków, potomków żołnierzy Emin-Paszy, którzy zbuntowali się ostatecznie pozostali w kraju, gdy Emin-Pasza w towarzystwie Stanley'a odmaszerował ku wybrzeżu. Później ludzie ci wstąpili do służby angielskiej. Teraz dowodził nimi stary sierżant-major, który służył jeszcze pod Eminem-Paszą i miał około siedemdziesięciu lat. Mimo to w swoim haremie gromadził wdowy-żołnierki. Otóż mój Djuma został tam złapany wieczorem. Tłumaczył się, że przyszedł piwa kupić. Nikt mu nie dawał wiary, choć wymachiwał srebrną rupią, zalewając nas potokami słów, gdyż był bardzo wymowny. Sierżant, z dobrotliwym uśmiechem starego człowieka wyjaśniał, że czuje się bardzo poszkodowany na honorze, gdyż przekroczone wrota jego kraju i rzucono cień na cześć jego kobiet, dodał przy tym, że można sobie na to pozwalać w stosunku do Murzynów (Washenzi), lecz on jest muzułmaninem! Domagał się więc maksymalnego wymiaru kary, to znaczy hamsaesherin (25 batów). Zrobiło mi się żal mojego Djumy. Przecież według regulaminu bić go będzie najstarszy rangą czarny podoficer, a więc sam poszkodowany. W koloniach nie wolno było białym dotknąć palcem Murzyna. Było to bardzo karane, przynajmniej w teorii. Odruchowa złość bitego winna się była zwracać przeciwko człowiekowi własnej krwi. W danym przypadku, w zastępstwie Anglika, sędził człowiek uważający siebie za Portugalczyka, urzędowo uważany za Goa, w rzeczywistości zaś przypuszczalnie anglo-indyjski mieszaniec. W

Afryce wschodniej tacy „Portugalczyki” zajmowali niższe stanowiska administracyjne i stanowili personel kolej i poczty. Murzyni uważali ich za ludzi niższej kategorii od Greków, jakkolwiek i tych nie szanowali zbyt, nie zaliczając do właściwych Europejczyków. Byli oni dla nich Washenzi Ulaja (Europejczy Murzyni), gdyż niekiedy sami zamiatali własne sklepiki. Mnie, jako bezspornemu białemu, który miał pod swoim dowództwem żołnierz, a swoim tragarzom płacił aż osiem rupiej miesięcznie i którzy, będąc na skarbowym wikcie, imponowali swoim utracjuszostwem, przypadła wdzięczna rola obrony Murzyna. Zresztą i ten Murzyn nie był byle kim. Przecież podawał on kawę, kiedy król rewizytował jego pana w towarzystwie katikira (pierwszego ministra). Mimo to sprawa Djumy była beznadziejna, gdyż naruszył świętość muzułmańskiego ogniska domowego, a to, że sam się uważał za muzułmanina, jeszcze pogarszało sprawę. Dla sierżanta, myślącego starsudańskimi kategoriami, był on tylko niewolnikiem białego, w dodatku chrześcijanina. Broniąc Djumy podniosłem, iż jest rzeczą niesprawiedliwą, by przy angielskim sądownictwie (co prawda policyjnym) wykonawcą był sam poszkodowany. Ten argument bardzo zaskoczył de Suzę, gdyż chciał być w zupełnym porządku w stosunku do mnie i ogarnęło go pewne wątpliwośći prawne. Sierżant był jednak wielką figurą, gdyż stanowiska białych oficerów i podoficerów w kompanii policyjnej walcowały od dawna z braku kandydatów. Młodym Anglikom nie chciało się już służyć w koloniach, zwłaszcza po zupełnie nieatrakcyjnych dzurach, w dodatku w policyjnych kompaniach, lekceważonych przez wojsko liniowe, nie mówiąc już o marynarce. W ten sposób zarysował się już wtedy kryzys Imperium. Stary sierżant koniecznie zaś chciał własnoręcznie wylać skórę winowajcy. Zaczęliśmy się więc targować o skórę nieboraka. Po dłuższej dyskusji, prowadzonej w najuprzejmniejszej formie, często przerywanej wybuchami śmiechu, skończyło się na kompromisie. Ostatecznie stanęło na tym, że wykonawcą wyroku będzie sierżant, lecz rozmiar kary został zredukowany do minimum, to znaczy do pięciu batów. Djuma położył się przed urzędem, wziął swoją porcję bez stęknienia, jakkolwiek sierżant bił z wyrazem zwierzęcej zawziętości i otrzaskał się jak pies po kąpieli, poszedł do domu z hardą miną. Dopiero po kilku dniach zobaczyłem go kąpiącego się w potoku, gdyż bardzo dbał o czystość. Wtedy stwierdziłem, że sierżant reprezentował klasyczną egipsko-sudańską szkołę bicia, o której niejednokrotnie słyszałem od Murzynów. Cztery uderzenia spowodowały pęknięcie skóry, a po jednym została pręga, tworząca wałek na pół palca. Nie wytrzymałby może te hamsaesherin, które mu chciał wymierzyć sierżant. Nasze shauri (rozprawa) o skórę, toczyła się w języku kisuaheli przez wzgląd na sierżanta nie umiającego po angielsku, a ja wtedy jeszcze nie znałem narzecza sudańsko-arabskiego, który był językiem sierżanta, a w dodatku zachodziła konieczność słuchania tłumaczeń Djumy. Miał on więc możność przekonania się, jak gorąco broniłem jego sprawy i jak wiele osiągnąłem. Zrobiło to na nim duże wrażenie. Przejął się więc swoimi obowiązkami i starał się nawet prześcignąć Ajusta. Niestety pewnego dnia stwierdziłem, że w swojej usługowości posunął się zbyt daleko. Wyszedłszy raz z namiotu z przerwaniem zobaczyłem, że przeczesał kawę przez podolek koszułki, którą miał na sobie..

Jan Czekanowski



Zygmunt Lichniak

## O człowieku, który kupował ludzkie mózgi, czyli ganglion doktora Jarosławskiego

Wydana w roku ubiegłym książka Mieczysława Jarosławskiego<sup>1)</sup> była dla mnie źródłem kilku sensacyjnych przeżyć. Pierwsze z nich sprowadzało się do zwykłego pytania: kim jest Jarosławski? Biorąc jego „Szpital” do ręki przypuszczałem, że opasłe dzieło jest wyczynem debiutanta. Z przerażeniem stwierdziłem, że świat ujrzało już przede mną „tegoż autora” prawie czterdzieści dzieł! Zasmucony swoją ignorancją szukałem o nich informacji u niezawodnego Czachowskiego. Czachowski nie wspomina jednak ani jednym słowem o płodnym twórcy. Zauważywszy, że autor „Szpitala” ma „w przygotowaniu” kilka jeszcze powieści, sztuk dramatycznych i różnych szkiców literackich, zabrałem się gorliwie do lektury jego dwutomowej książki.

Lektura ta to długie przeżycie, o którym warto kilka słów napisać. Doktor Jarosławski stawia fantastyczną tezę: jeśli ktoś jest przestępcą, bandytą czy złodziejem, defraudantem czy nożownikiem to wytłumaczenia należy szukać w fizycznej konstrukcji mózgu przestępcy. Znajdzie się w nim ukryty pod zwojami kory mózgu wej tzw. ganglion przestępczości. Wystarczy wykroić ostrym lancetem ten ganglion, a z łajdaka, zbrodniarza, złodzieja i defraudanta uczyni się porządnego, uczciwego człowieka. Sensacyjna fabuła powieści rozdęta w chorobliwy sposób mnóstwem pseudo-naukowych dygresji sprawia wraże nie jakiegoś maniackiego elaboratu, w którym pozornie humanistyczna troska o człowieka daje się zdemaskować jako niezdrowy głód fantazji, jako mętniactwo naukowe lub po prostu grafomański popęd do bzdurnego, wodolejskiego gryzmolenia.

Dwutomową powieść Jarosławskiego dałoby się określić jako dzieło reprezentatywne dla literatury czwartorzędu epoki kółka ciosanego na głowie biednych czytelników. Jedyną pociechą jest, że, jeśli przyjmiemy na chwilę fantastyczne założenia „naukowe” doktora Jarosławskiego, jeśli okreslimy grafomanię jako przestępstwo, możemy dojść do radosnego wniosku, iż wycięcie odpowiedniego ganglionu przestępczości grafomańskiej rozwiązałoby ostatecznie niebezpieczną sprawę dzieł

<sup>1)</sup> Mieczysław Jarosławski: „Szpital”, powieść, Sp. Wyd. „Fregata”, Sopot 1949, t. I — str. 296, t. II — str. 326.

znajdujących się „w przygotowaniu”.

Gdyby przewinienia autora „Szpitala” sprowadzały się tylko do nieudolności pisarskich, nie trzeba byłoby używać tylu mocnych słów, tak bezpośrednio atakować pisarza. Jeśli jednak znajdujemy w jakimś utworze antyhumanistyczne, fatalistyczne koncepcje, jeśli ktoś w nas wmawia, że kwestia stworzenia właściwych norm etycznych to sprawa udanej operacji chirurgicznej, jeśli ktoś sugeruje, że istnieją narody, w których prawie wszyscy przedstawiciele noszą w swoich mózgach gangliony przestępczości, pro test wydaje się całkowicie uzasadniony, a jego najostrejsza nawet forma usprawiedliwiona zupełnie.

Tylko dla wyrażenia tego protestu, bo przecież nie dla „literackich cech” książki Jarosławskiego, powstała ta recenzja. Warto w jej zakończeniu postawić drażliwe, ale konieczne pytanie pod adresem wydawców: czy „Fregata” nie ma u siebie odpowiedzialnego kierownika literackiego, czy nie szkoda jej mnóstwa papieru wyrzuconego za burtę? Wiemy, że ma na swoim koncie ciekawe i miłe pozycje, jak czekająca na bliskie już w tej rubryce omówienie bajka Wiśniewskiej-Rajczykowej pt. „Pani na Bałtyku”. Wiemy o innych, słusznych i ciekawych projektach wydawniczych. Więc skąd ten nierozsądny i szkodliwy expens?

Niepokojący rachunek: pięć tysięcy razy po prawie sześćset stron, to przeszło pięć ton papieru. Mój Boże, taki ładunek za burtę..

Zygmunt Lichniak

NA ZAMÓWIENIA  
KIEROWANE

DO  
ADMINISTRACJI  
„DZIS I JUTRO”

SP. WYD. „PAX”

WYSYŁA POWIEŚĆ  
BRUCE MARSHALL

CHWAŁA CÓRY  
KRÓLEWSKIEJ

PROSIMY O WPLATE  
ZŁOTYCH 750 za EGZ.  
NA KONTO PKO I-8515  
LUB PRZEKAZEM  
POCZTOWYM

POPIERAJĄCIE

Katolicki Uniwersytet Lubelski

Ze starych ksiąg

Podał do druku B. M. Długoszewski

## W Y M I A N A Z D A Ń

MOWA JANA DICKENSON,  
POSŁA NADZWYCZAJNEGO  
JAKÓBA I. KRÓLA  
ANGIELSKIEGO DO  
ZYGMUNTA III.  
w r. 1615.

Jakżebym życzył, by się rzeczy tak miały, aby ten, który od Króla przyjaciela, nieprzyjaciela i tak to, co z wzajemną przychylnością, i dobrą porozumieniem jest zgodnym. Lecz także inne jest moje poselstwo. Przychodzę do W. K. M. od Króla Pana mego, z żalobą na poddanych jego. Srogo od nich obrażonym zostało dostojństwo pana mego. Bieżącego właśnie roku, wyszło w Krakowie, w drukarni Brazilego Schalckiego, dzieło rozmów Oświęcimskich, xiąg pięć, pisane przez Gasptra Cichowskiego, Kanonika i Plebana Sandomirskiego, przypisane Hieronimowi Ossolińskiemu Opatowi Koprzywnickiemu: słysząc o świetle i zacności męża tego, nie mogłem wierzyć by on to bezbożne i gorszące dzieło czytał, coż dopiero by je powagą swoją zaszczycał, i drukować one pozwalał. Jak że się mogły na czeluź zięzi tej znajdować wiersze na cześć rodu Ossolińskich przez Jezuitów pisane. Pokazuje się nam to z samego dzieła iż jeden z Sekretarzy W. K. M. nazwiskiem Cochlenius był dzieła tego współpracownikiem. Dziwnia się niepomału, iż Sekretarz w gabinecie W. K. M. pracujący, obeznany z ważnymi sprawami, nie wie, iak się powinien zachować względem chrześcijańskiego Króla, od lat tylu żyjącego z W. K. M. w przyjaźni. Przystępuję teraz do dzieła samego, to jest od Rozdziału 2-go do 7-go xiąg 3-cię. Jest to zbiór nayszkaradniejszych i nayszkaradniejszych potwarz. Oprócz przekleństw na królową Elżbietę, na Nayaśniejszego Króla Pana mego, i na cały rod Stuartów, szczególnie na dziada i oycę, których mieni być z pospolitego rodu, za Herezję swoją bezecnych, i wraz z Julianem Apostatą w piekle zamurzonych po uszy, iak że się niewstydzili, tych czerniących nazwisk, które im daie mianując go Phalaridą, Antichrystem, tyranem równie obmierzłym iak Domicyan i Neron. Wszystkich tych nazwisk odważył się Cichowski, pod zmyślonem niby Imieniem na Króla mego użyć, co iak jest wszetecznym i niesprawiedliwym, wiadomo całemu chrześcijańskiemu światu. Mamże wspomnieć o natrzęsaniach, i pośmiewiskach? tego jednak zataić nie mogę, iż tych zbrodniarzy, którzy tak sprawiedliwie za położenie prochów pod Westminster skarani byli, on przykładowi mężami nazywa. Nieprzesłał jeszcze na tem Cichowski, lecz pełnemi żaglami, buła po morzu bezczelnych szkłowań, zaprzecza Królowi memu, praw jego do Królestwa Szkockiego, co mówię, otwarcie głosi, że go nieuznaie za Króla, niepolicza w poczet chrześcijańskich monarchów, i owszem zowie go Apostatą, Tyranem, godnym złorzeczenia wszystkich!

A gdy tak jest, znajdziesz się człowiek tak bezbożny, tak ogo-

locony, z wszelkich uczuć sprawiedliwości któryby mógł zaprzeczyć, iż król Pan mój słusznie się skarży, słusznie żalobę nosi. Zostaje więc abyś W.K.M. tak w tej rzeczy postąpił, iak rozstroponość radzi, a sprawiedliwość nakazuje. Niech prawa narodów, wspólny interes Monarchów, ich godność, ich dostojność, ich przyjaźń, pokrewieństwo, braterski związek, przewodnikami w tej drodze W.K.M. będą.

Pisałeś W.K.M. pod datą 12. Kwietnia do Króla Pana mego, aby wysłał Posłów swych do Szczecina, dla zawarcia traktatów ze Szwecją. Ja, Imieniem Króla Pana mego, odpowiem, iż świat cały przyświadczyć może, iak gorąco Król mój żąda zgody, między Chrześcijańskimi panami. Co się nas osobiście tyczy, chętnie się przyłożemy do tego, lecz cześć, i godność nasza wymagają, abyś W.K.M. wymierzyl sprawiedliwość w tak ciężkiej zadanej nam krzywdzie, wprzód niż byśmy się my, do tej przyjacielskiej posługi zabrałi. Co ieżeli zaniechanem, lub spóźnionem zostanie, okaże się że W.K.M. sam wierzysz szkalowaniem, i kłamstwem w tej xiędze zawartym, a zatem że Monarcha ogłoszony w nim, za niechrześcijanina, niegodzien jest być pośrednikiem Chrześcijan. Miara więc kary powinna być w miarę przestępstwa.

Nietyle Król, Pan mój, lubi sobie przywłaszczać, aby miał przepisywać, iak W.K.M. w państwie swoim występnym masz karać, lecz co słusznem, co przyzwoitem mieni, w kilka słowach opowiem. A to jest, aby występnym ukaranymi byli, wedle ogromu przewinienia swego: aby nietylko tak niegodziwe dzieło zakazanem zostało, lecz aby wszystkie egzemplarze onogo, iakie tylko znaleźć się będą mogły, publicznie na rynku spalonymi były. Należałoby jeszcze, aby w czasie palenia tego, dostojny mąż iaki, miał oracyą ogłaszającą przyczynę spalania tego, okazującą oraz szkaradę przestępstwa. A że dzieło to pisane jest po łacinie, i bez wątpienia za granicą Polski, przeniesie się obficie po różnych krajach, mam zlecenie domagać się od W.K.M. ażebyś publicznie pismem łacińskim ogłosił raczył, że przyjaźń przez lat tyle między W.K.M. a Królem Panem moim będąca, niczym nie naruszoną jest, i że dzieło Cichowskiego niezawiera iak bańnie, i potwarze pogardy godne, że nakoniec trwaź W.K.M. ku Panu memu, w tem poważeniu w tej czi, w tej przyjaźni, które mu się od brata i pokrewnego należą.

To jest, com miał zlecenie W.K.M. przelożyć, a to że W.K.M. w wadze, i pilnem baczeniu zostanie, ufam bezpiecznie.

ODPOWIEDZ J. K. M. PANU JANOWI DICKENSON, POSŁOWI KRÓLA W. BRYTANII PRZEZ KANCLERZA FELIXA KRYSKIEGO

DANA DNIA 8 PAŹDŹ. 1615.  
Przełożył J. W. Pan J.K.M. P.M.M. Imieniem Króla Jmci W. B. skargi swoje, na pismo w państwach J.K.M. na widok wyszłe, uwłaczające osobie i dostojństwu Króla Pana iego, żądając także, aby pisarz dzieła tego do surowej odpowiedzialności był pociągnięty. Ubolewa J.K.M. P.M.M. nad wypadkiem, którym Król Jmci Wielkiej Brytanii obrazem jest. Zawsze bowiem J.K.M. P.M.M. starał się zachowywać iak nayscisłszy przyjaźń miłość braterską z Królem Panem waszym, i nieopuszczał żadnego zdarzenia, by ich dowodów nie dawał. Niemniema i dzisiaj, byto prywatnego, i mniemy uważnego członka pismo, dawną przyjaźń między dwoma Monarchami, zmniejszyć lub zmniejszyć mogło. Z resztą by J.K.M. wielkiej Brytanii był przekonany, iak J.K.M. Pana mego krzywda ta obeszła... (Tu w zbutwiałym rękopisie dwa wiersze wydarte; dalej, jak następuje:) mówię przeciw Królowi, i familii Szturnartów, nic z wiarą S. Katolicką i prawami kościelnymi wspólnego niemające, J.K.M. zupełnie nagania. A że Autor pisma tego jest osobą duchowną, nic względem niego J.K.M. stanowić nie-

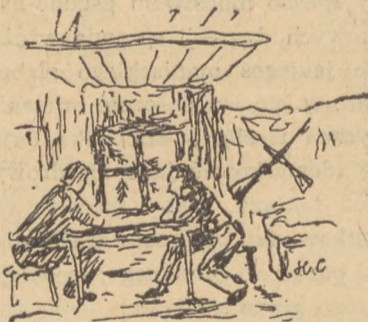
może; tak bowiem prawa i zwyczaje Królestwa tego mieć chcą, iż i Królowie nawet nad duchownymi żadney władzy i zwierzchności wyrządzać niemogą. W tej bowiem Rzeczpospolice stan duchowny jest naysposobniejszym i naysposobniejszym stanem, posiadającym nieograniczone prerogatywy, tę nawet iż Xiądz niemoże być sądzonym iak przez osoby stanu swego. Niemoże tego J.K.M. odmienić bez wstrząśnienia i zamieszania Rzpotey całej. Z tej przyczyny xięgi od osób duchownych pisane należą tylko do rozstrząsania i poprawy Xięży religii katolickiej. Tyłe tylko J.K.M. P.M.M. uczynić może, iż zaleci Biskupowi, do którego dyocezyi Kapłan ten należy, aby go upomniał i przykazał, aby wszystko co jest nieprzystojnym i uwłaczającym osobie Króla Jmci W. Brytanii, wymazał, aby ten przykład i innych od podobnego targania się utrzymał.

To jest co WP. zechcesz Królowi Jmci Panu swemu oświadczyć, zapewnić oraz, iż J.K.M. niezmiennym jest w przyjaźniach uczuciach swoich dla Króla W. Brytanii, że mu dowodów przychylności swojej we wszystkich dawać nieomieszka, pełen zaufania, iż w zaimnych do Króla Jmci K. Brytanii uczuć doznawać będzie. Donosząc rozkazy J.K.M. P.M.M. Jmci Panu mam honor zapewnić go o łasce J.K.M. dla JW. Pana.

## R Ó Ź D Ź K A R Z

(dalszy ciąg ze str. 7)

Ów dzień w Beskidach powracając bladym, nierealnym echem. „Astronoga” — tak nazywali dziwaka wieśniacy z dolin — był jego ostatnim łupem, niespodziewaną konkluzją książki, którą nosił w sobie, już niemal dojrzałą. Odkrycia dokonał zupełnie przypadkowo, ale w jakiś niezwykle sposób było ono naturalnym spełnieniem wielokrotnie potwierdzonej reguły. Wystarczyło bowiem by



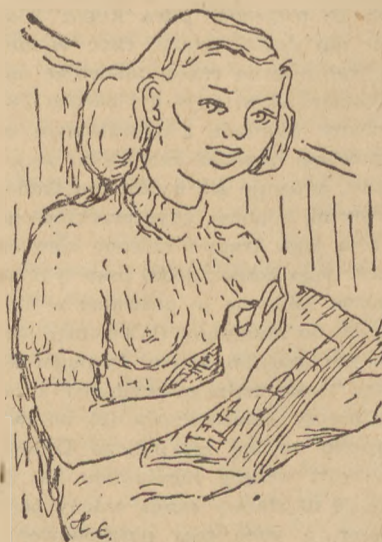
pomysł zaciążył w mózgu własnym, tajemniczym życiem, a natychmiast świat poddawał się jego promieniowaniu, wydzielając z siebie, jak pod działaniem prężnego magnesu, kruszące potrzebny do budowy dzieła. Do chaoty na górskiej polanie szedł jak po swoje. Bez zdumienia, ciekawo tylko jak dalece upodobni się rzeczywistość do powstającej już w umyśle konstrukcji. „Astronoga” ze swej strony również nie dziwił się tej wizycie. Przywykł już do faktu, że jego „obserwatorium” stało się swego rodzaju osobliwością okolicy. Niedawno zwiędziała je nawet wycieczka szkolna z powiatowego miasta. Rozmawiał z gościem uprzejmie, rzeczowo, nie dostrzegając na pozor jego zachłannej ciekawości.

Nie był żadnym prymitywem ani maniakiem. Zainteresowania swe traktował z powagą fachowca. Surowość bierwionowych ścian, ubóstwo ciemnej izby mogły bez wstrząsu ustąpić miejsca nowoczesnemu wnętrzu naukowej pracowni. Tylko brak pieniędzy nie pozwolił mu ukończyć matematycznych studiów. Nie zależało mu jednak na dyplomie. Nigdy nie miał zamiaru poświęcić się karierze nauczycielskiej. To czego się nauczył potrzebne mu było jako narzędzie do własnej pracy. Pewnie, że nie miał tu takich warunków, jakich by pragnął, ale i tak wolał to od klasy szkolnej.

Siedzieli przy prostym, sosnowym stole, naprzeciw małego okienka, zasłoniętego w połowie jodłową gałęzią. Był w tym romantyzm. Niewątpliwie. Ale jednak prawda wydała mu się anemiczną w porównaniu z tym co hodował już w sobie na sokach owej pożywki. Nie peszył się tym. Z góry dopuszczał pewien margines rozczarowania. Nie mogło ono i tak niczym zaszkodzić koncepcji. Rozglądał się po izbie, korygując już teraz niedoskonałość jej wyglądu. Między półką z książkami, a piecem umieszczał imaginacyjną dubeltówkę i pęk sidiel.

— Przepraszam za niedyskrecję: z czego pan żyje? — zapytał. „Astronoga” uśmiechnął się powściągliwie: — z ziemi. Z ziemi, nie z gwiazd. Mam we wsi kawałek pola. — I nagle, jakby wycał, że gość chce mu coś wmówić, wykorzystał go dla jakichś własnych, podejrzanych celów, dodał tonem ledwo dostrzegalnego zniecierpliwienia: — tu nie ma żadnych tajemnic. Ludzie na dole

opowiadają o mnie różne bajki, ale to oni są dziwni, nie ja. Oni żyją w świecie magii, ja w świecie faktów, podlegających kontroli ścisłych obliczeń. Gdyby pan był fachowcem, chętnie porozmawiałbym z panem o tych rzeczach. Ale dla laika to sprawy bardzo nudne. Nazywają mnie „astronoga” i mówią, że robię czary. Czarnownik w dzisiejszych czasach! To rzeczywiście sensacja. — W głosie jego zabrzmiała nuta ironii. — Ale z bliska to wszystko jest bardzo prozaiczne. Mógłby mnie pan



zapytać dlaczego żyję. No tak, wtedy weszlibyśmy naprawdę w kraj tajemnicy...

Jedna z paniszek zaśmiała się hałaśliwie. — Każda potwora ma swego amatora, jak to mówią. Święta racja!

Zamknął książkę. Nie mógł nie słyszeć. A poza tym było coś klasycznego w tych idiotyzmach. Ile-

króć był świadkiem podobnych rozmów, zdawało mu się, że zmyśla, że to niemożliwe aby ludzie upodobniali się tak bardzo do karykaty, jakie robią z nich satyryczni rysownicy i pisarze.

— Podchodzę do niej i mówię: serwus Jadzka! A ona wytrzeszcza na mnie takie gały, jakby mnie widziała pierwszy raz w życiu. „Pani wybaczy, to chyba jakieś nieporozumienie”. — Opowiadająca nadała swemu głosowi ton pretensjonalny i piskliwy, sznurowała nienaturalnie usta, parodiując swoją ofiarę, a nieświadomie samą siebie i wszystkie podobne sobie stworzenia.

Karykatura stawała się coraz bardziej irytująca i wulgarna. Za krył rękawem tytuł książki, widząc że sąsiadka obmacuje ją cie kawym, ukośnym spojrzeniem, Boże! Szum oceanu, gwiazdy i tajemnica — dla takich! Wypełnił się cały pogardą. Był nią napompany jak balon. Jeszcze trochę, a mógłby ulecieć w powietrze, ponad tę całą bzdurę, od której duszno było w wagonie. Przez chwilę obserwowwał badawczo pozostałych towarzyszy podróży. Opalona, jasnowłosa dziewczyna w pulawerze i turystycznych butach wydała mu się bardzo ładna. Ze swego poprzedniego miejsca nie widział jej tak dokładnie jak teraz, gdy siedzieli naprzeciw siebie. Miała niskie czoło i twarz raczej szeroką z krótkim nosem i zdecydowanie wystającymi kośćmi policzkowymi. Nie była to uroda subtelna, ale cała jej postać tchnęła wrusząca świeżością, radosną siłą życia.

(ciąg dalszy w nr następnym)

# TYDZIEŃ KULTURALNY

## Film

### 30-lecie kinematografii radzieckiej

W związku z 30-leciem kinematografii radzieckiej w okresie od 19 do 22 lutego na ekranach kin w całej Polsce były wyświetlane radzieckie filmy fabularne, dokumentarne i oświatowe.

Do programu weszło pierwsze po wojnie wzniesienie udźwiękowionego filmu Pudowkina „Burza nad Azją”, filmu, który kiedyś był niebywałą rewelacją artystyczną, należy do klasycznych pionierskich dzieł kinematografii światowej, a miarą jego wielkości jest to, że po upływie przeszło 20 lat od chwili realizacji (co w dziejach rozwoju filmu jest epoką) nie stracił ani aktualności ani siły głęboko wzruszającej ekspresji artystycznej. Oprócz „Burzy nad Azją” widzimy zdubbingowany film „Konstanty Zasłonow”. Scenariusz „Zasłonowa” został opracowany na podstawie sztuki scenicznej Arkadiusza Mowzona o narodowym bohaterze Białorusi, dowódcy partyzantów białoruskich Konstantym Zasłonowie. Trzecią premierą była premiera oryginalnej wersji drugiej serii „Bitwa Stalingradzkiej”.

W istniejących kinach „aktualności” wyświetlane były przeglądy najwybitniejszych filmów dokumentarnych, rysunkowych i oświatowych.

Film Polski opracował specjalny dodatek zmontowany w Polsce, obejmujący trzydzieści lat kinematografii radzieckiej. Dodatek ten pokazywany był na ekranach w czasie obchodu trzydziestolecia. Prócz tego zostały wydane dwie broszury bogato ilustrowane fotosami, przedstawiające rozwój filmu radzieckiego. W miastach wojewódzkich zorganizowano specjalne wystawy dające przegląd radzieckiej twórczości filmowej.

Kina młodzieżowe wyświetlały najwybitniejsze filmy dla młodzieży.

W Warszawie program obejmował następujące filmy: „Burza nad Azją”, „Pocznistrz”, „Nowy Gulliver”, „Czapajew”, „Bitwa o Stalingrad” (druga seria).

Na zakończenie uroczystości trzydziestolecia kinematografii radzieckiej zbiegającej się z jubileuszem powstania Armii Czerwonej w dniu 23 lutego były wyświetlane filmy ukazujące bohaterstwa walki Armii Czerwonej jak np.: „Trzeci Szturm”, „Bitwa o Stalingrad” i inne.

Przy okazji omawiania udziału „Filmu Polskiego” w nowym festiwalu filmów radzieckich warto pokrótce poinformować czytelnika o ostatnich zamierzeniach naszego filmu w ogóle. Dyrekcja „Filmu Polskiego” stojąc na stanowisku, że wysiłki tej instytucji będą niewspółmiernie większe, gdy zostaną poparte przez współdziałanie ogółu społeczeństwa, postanowiła wejść w kontakt z terenowymi przedstawicielami społeczeństwa, jakimi są Wojewódzkie Rady Narodowe. Postulat dotarł w głąb społeczeństwa, poznania jego życzeń, słusznej oceny hierarchii potrzeb poszczególnych województw — wszystko są to postulaty niezmiernie słuszne. Należy się jednak spodziewać, że realizacja tych zamierzeń napotka na duże trudności choćby w wyniku braku odpowiednio kwalifikowanych sił w terenie. Przyszłość oczywiście okaże w jakiej mierze te słuszne plany zostaną zrealizowane. W każdym jednak razie warto nadmienić, że projektowane posunięcia mają stanowić przełom w dotychczasowych metodach pracy nad upowszechnieniem kultury filmowej.

## Sprawa literatury współczesnej

W końcu roku ubiegłego Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Zarząd Główny Związku Literatów rozpoczęły organizowanie akcji wyjazdów pisarzy w teren fabryczny czy wiejski dla zapoznania się z codziennymi problemami tych środowisk. Akces swój do tej akcji zgłosiło około dwustu pisarzy polskich. Ci pisarze — oraz stu kilkudziesięciu innych, interesujących się zagadnieniami, nie mogących jednak w najbliższym czasie poświęcić się całkowicie z tych środowisk specjalnie — odbyli ostatnio wielką naradę. W dwudniowych obradach wzięli udział przedstawiciele państwa z min. min. Bermanem, Jędrzychowskim, Rusankiem, Dąb-Kociołem i innymi na czele.

W drugim dniu obrady toczyły się w dwóch sekcjach: wyjeżdżających na wieś i wyjeżdżających do fabryk. Do wyjazdów do spółdzielni produkcyjnych zgłosiło się szereg wybitnych pisarzy z Marią Dąbrowską na czele. Zasadniczo akcja ma charakter długofalowy. Pisarze wiele miesięcy przebywać będą w wybranych przez siebie środowiskach; książki jakie potem napiszą, ukazać się nieprędko. Mają to być dzieła o pełnej wadze artystycznej, nie reportaże. Wydaje się, że narady warszawskie, przez wyraźne wytyczenie ich tematu i związanie z konkretną akcją organizacyjną — mogą stać się pewnym ważnym punktem w rozwoju naszej literatury współczesnej, która dotychczas w nikłym jedynie stopniu nazwana mogła być współczesną.

Jeżeli chodzi o powieści współczesne, które dotychczas policzyć można nie używając palców obu rąk — niedługo chyba zajmą one bardziej istotne miejsce w planach

wydawniczych. Równocześnie z długofalową akcją kontaktu pisarzy z terenem — zaimcjowana została impreza bardziej dorywcza: stosunkowo niedługi konkurs zamknięty zorganizowany przez Tow. Wydawców Czasopism oraz Min. Kultury i Sztuki na powieść odcinkową o tematyce współczesnej. Pierwsze plony tego konkursu winny zacząć być drukowane w drugiej połowie lata br.

Ważne jest — wydaje się nam — o nas najpoważniejsi twórcy katolicy tacy jak Zawieyski, Dobraczyński, Gołubiew, Grabski, Malewska, wzięli czynny udział w tworzeniu powieści współczesnej. Ostatecznie jeżeli wśród budowniczych Polski współczesnej znajdują się wierzący katolicy, świadectwo temu winien dać katolicki prozaik.

## „Odra”

1 lutego br. przestała ukazywać się „Odra” — tygodnik katowicki założony w 1945 roku i poświęcony specjalnie problematyce Ziemi Odzyskanych. Ta problemowa wyłączność zaciążyła nad losem pisma. W okresie nowości tych ziem — tygodnik był bardzo żywy i dobry. Ostatni

rok pismo straciło na swym rozwoju, stało się raczej monotonne, choć od czasu do czasu trafiały się tam kapitalne pozycje. Uwiąd pisma wynikał z zasadniczej przyczyny: specyficzność tematyki Ziemi Odzyskanych należy do przeszłości. Ziemia te traktowane mogą być jedynie już w całopolskim kontekście. „Odra” mogła uratować swój żywot tylko stając się ogólnokulturalnym czasopismem regionalnym. Na utrzymywanie jednak takiego tygodnika — przy konkurencji silnych pism centralnych — Katowice są zbyt słabym ośrodkiem kulturalnym. Z miast Ziemi Zachodnich jedynie może Wrocław mógłby tego dokazać, a i to nie jest pewne czy posiadałby on stosowny zespół redakcyjny. „Odra” poświęcona wyłącznie problemom Ziemi Zachodnich czy nawet specjalnie tematyce niemieckiej, lub nowo-niemieckiej — nie miała racji bytu jako tygodnik. „Odra” przekształcona w pismo ogólnokulturalne nie wytrzymałaby konkurencji poziomowej pism centralno-krajowych. Tygodnik wymaga bardzo silnego zaplecza kulturalnego. Niestety polska prowincja jest zbyt słaba, by nań się zdobyć.

## Festiwalowe refleksje

Jesteśmy bogaci w doświadczenia co najmniej trzech świadomie rozplanowanych i przygotowywanych festiwali.

Te doświadczenia uprawniają już do wyciągnięcia wniosków z popełnionych błędów, do sformułowania też precyzyjnych postulatów skierowane zarówno pod adresem Filmu Polskiego, jak i publiczności.

Znamy doskonale trudności wynikające z tego, że „Film Polski” otrzymuje materiał festiwalowy w czasie niezależnym od przedsiębiorstwa. Fakt ten utrudnia właściwe przygotowanie i poinformowanie publiczności o szczegółach planowanego festiwalu. Niemniej jednak wydaje się, że zasadnicza kampania przygotowawcza zarówno w stosunku do ogólnej linii repertuaru jak też i do jego szczegółów prowadzona jest w sposób, lekko mówiąc, chaotyczny.

Festiwale tego typu jak ten, który ma przedstawić publiczności trzydziestoletni dorobek filmu radzieckiego, mają przed sobą olbrzymie zadanie i wielką odpowiedzialność nie tylko z tego tytułu, że muszą dać każdemu, nawet najbardziej nieprzygotowanemu widzowi, właściwą perspektywę, właściwy obraz rozwoju sztuki filmowej, ale również dlatego, że muszą spełnić swoją funkcję wychowawczą. Nie wolno widzowi pokazać „Burzy nad Azją” czy „Pocznistrza” bez powiedzenia mu jakie jest miejsce tych filmów w historycznym kształtowaniu się filmu radzieckiego, jaka jest i była ich funkcja w rozwoju kinematografii

w ogóle, czym wreszcie jest próba dwudziestu przeszło lat dla sztuki tak bardzo zależnej od zmieniających się zdobyczy technicznych. Prasa została poinformowana o festiwalu w tygodniu bezpośrednio poprzedzającym jego rozpoczęcie. Ten okres czasu spowodował, że poza suchymi informacjami nie można było podać żadnych przygotowawczych artykułów. Broszury wydane przez „Film Polski”, zawierające bogaty materiał ilustracyjny, tego zadania również nie spełniają. Założeniem ich jest raczej zsumowanie doświadczeń widza — sprzedawane bezpośrednio przed rozpoczęciem seansu nie mają wpływu na wybór filmu, są przeznaczone raczej do czytania po obejrzeniu go. Dobrze by jednak było gdyby informacje zawarte w tekście orientowały widza bardziej szczegółowo i wyczerpująco.

Kto był na seansie w Palladium na „Burzy nad Azją” albo „Pocznistrzu”, mimo najbogatszego doświadczenia nabytego w kinach warszawskich, był zaskoczony zupełnie nieprawdopodobnymi i nieoczekiwanymi reakcjami publiczności. Najdziwniejsze wydaje się to, że sceny, które uległy dewaluacji wskutek zmiany upodobań, jak np. dewaluacja typu wampa sprzed 20 lat, przechodziły bez specjalnych wybuchów wesołości, natomiast z reguły najbardziej patetyczne, wstrząsające, wydaje się, posiadające wymowę ogólnoludzką, fragmenty wywoływały na widowni w najlepszym razie odruchy hulaśliwej uciechy, w gor-

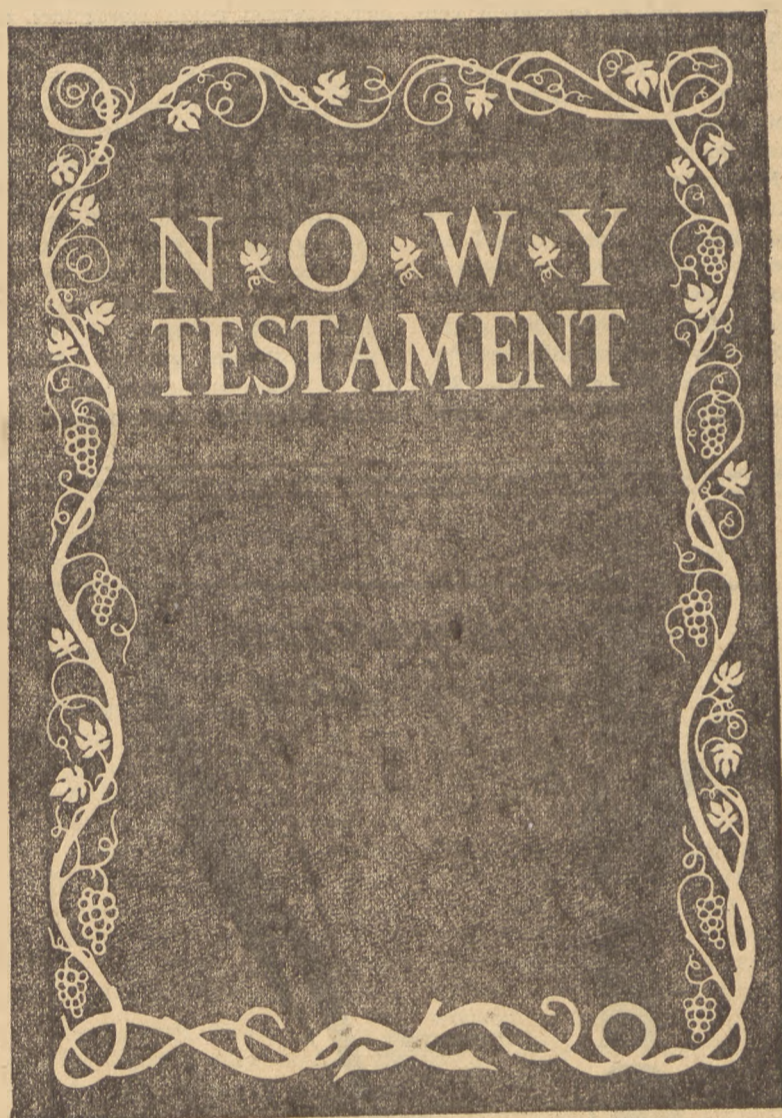
szym głośnie i trywialne uwagi. Wystarczy przypomnieć prawdziwą, głęboko realistyczną i jasną w symbolice scenę z akwariem. Scena ta została przyjęta przez pewną część publiczności jako dowcip.

Zagadnienie wychowania widza czeka rozwiązania.

Należy jeszcze postawić pytanie jaki jest skład tej tak właśnie reagującej publiczności. Czy pokazujemy te filmy tej właśnie, którą chcemy wychować, tej, dla której przecież te filmy były stworzone. Wydaje się oczywiście, że 80 proc. widzów to publiczność przypadkowa, szukająca łatwej i niewybrednej rozrywki. Publiczność, dla której nie istnieje s z t u k a filmowa.

Gdzie tkwi sedno sprawy? Postawmy sprawę jasno. Często o miejscu przy kasie decyduje prawo pięści i czasu. Czasu tego na pewno najmniej mają przedstawiciele świata pracy. Wydaje się, że dla uniknięcia opisanych sytuacji nieodzowne jest z jednej strony właściwe informowanie o pokazywanych obrazach, tak, aby tym, którzy szukają jedynie rozrywki, odebrać wszelkie złudzenia, pozostałym zaś umożliwić pełne rozumienie (dotyczy to zwłaszcza trudnych filmów retrospektywnych), z drugiej zaś dla umożliwienia wstępu do kina, istotnie zainteresowanym, wprowadzenie właściwej dystrybucji biletów — a więc w tym wypadku umożliwienie przed sprzedażą (tak jak to ma miejsce na festiwalach np. teatralnych).

Leszcz



W TŁUMACZENIU KS. DR. EUGENIUSZA DĄBROWSKIEGO  
WYDANIE DRUGIE

SP. WYD. „P A X”

STRON 1032

CENA 800.—

DLA CZYTELNIKÓW DZIS I JUTRO  
RABAT 10 PROCENT

KS. EUGENIUSZ DĄBROWSKI  
**PROLEGOMENA**  
do  
NOWEGO TESTAMENTU  
O P O L E 1 9 4 9.

Autor w książce tej zamierza pomóc czytelnikowi Nowego Testamentu w rozwikłaniu trudności związanych z interpretacją tekstu biblijnego. Nie pomija też niczego, co by mu to zadanie ułatwiło. Ale czyni to w sposób osobliwy. Ewangelisci, św. Paweł, Apostołowie przesuwają się kolejno przed naszymi oczyma, każdy z napisanymi przez siebie księgami. Jest ich wiele (27), a przecież wszystkie one do jednego zmierzają celu... Autor usiłuje odnaleźć tę bogatą różnorodność jednej myśli, zogniskowanej w postaci Chrystusa i Jego dzieła Odkupienia.

# Co pisać i nni...

Meander, miesięcznik poświęcony kulturze świata starożytnego, w numerze 8 za rok 1949 przyniósł przemówienia wygłoszone przy wręczeniu nagrody PEN-Clubu Stefanowi Srebrnemu (w dniu 5.IX 1949).

Byłoby bardzo źle, gdyby to wyróżnienie prof. S. Srebrnego przeminęło niezauważone. Choć jest jesteśmy wszyscy silnie zaabsorbowani problematyką aktualną, to jednak nie możemy omijać spokojnej pracy uczonego, który spełnia swoje trudne i niezbędne dla naszej kultury zadanie. Prof. Srebrny jest znakomitym tłumaczem literatury greckiej. Przed wojną, współpracując z prof. Tadeuszem Zielińskim, przygotował wypisy greckie, stanowiące podbudowę do dzieła największego polskiego hellenisty — wypisy, które już od lat oddają wielkie usługi w studiach humanistycznych. W najbliższym czasie zostaną wydane w jego przekładzie wszystkie tragedie Ajschylosa (nakładem PIW); już poznaliśmy wspaniałe tłumaczenie Oresteji, wystawionej w Teatrze Polskim. Nie na tym jednak koniec. Otrzymamy może również całego Arystofanesa, którego fragmenty już były ogłaszane w „Meandrze”. Wszystko wskazuje na to, że warsztat naukowy prof. Srebrnego obdarzy nas jeszcze niejednym cennym tłumaczeniem. Wtedy zasługi jego na polu pracy translatorskiej porównać będzie można tylko z takimi osiągnięciami jak dzieło Tadeusza Boya-Żeleńskiego czy Edwarda Porębowicza.

Każdy rozumie, jak niezwykle ważną sprawą jest dziś jakość i ilość naszych przekładów z literatury greckiej, gdy znajomość języka greckiego zacieśniła się do małej grupki specjalistów. Tymczasem na tym polu wcale nie jest u nas dobrze. Wystarczy przypomnieć, że nie mamy

właściwie dobrego przekładu „Iliady”. Nad przekładami z literatury klasycznej ciąży wiele różnorodnych grzechów: albo są one filologicznie wierne, ale za to sztywne i dla laików prawie nieczytelne; albo też są pełne poetyckiego temperamentu, ale za to nie oddają we właściwy sposób ducha oryginału (tak jest np. w tłumaczeniach Kasprowicza). Tacy ludzie jak prof. Srebrny, którzy łączą dyscyplinę naukową z prawdziwym rozmachem artystycznym (wystarczyło słuchać ze sceny jego „Oresteji”) — na kamieniu się nie rodzą.

Odpowiadając na przemówienie Jana Parandowskiego, prof. S. Srebrny wprowadza słuchaczy do swojej pracowni i zwierza się z kłopotów i osiągnięć swej pracy: „Praca moja bywała często uporczywym borykaniem się z coraz to nowymi trudnościami i nie dopuszczała nawet myśli o pośpiechu. Szło mi bowiem o to, by przekład mój dawał czytelnikowi nie tylko to, co w dziele oryginalnym da się oddać „własnymi słowami”: do istoty poezji należą właśnie „słowa poety”, ich taki a nie inny dobór i układ; treścią poezji nie jest bynajmniej tylko jej naga treść logiczna... Odrzuciłem rym, gdyż uważam go w przekładach z nierymowanej poezji starożytnej za niepożądany, za wypaczający jej charakter artystyczny; a na zachowaniu tego charakteru, który, wedle mego przekonania, wchodzi w skład samej treści poezji, zależało mi bardzo. Stąd też wypływa dążenie do zachowania — o ile to w języku polskim możliwe i o ile przez zbytnią trudność nie wprowadza sztuczności — rytmiki oryginału”.

Jeżeli teraz zwrócimy się do zawartości ostatnich zeszytów „Meandra” i poszukamy przekładów, to przede wszystkim rzuci się nam w

oczy — nieśmiertelny Horacy. Ciągłe powracanie do jego poezji przynosi chlubę zarówno starożytnemu poecie, jak i zapalowi jego polskich wielbicieli. Niezmiernie ważne są jednak tłumaczenia z autorów mniej znanych, czy też — mniej (czasem — prawie wcale nie) tłumaczonych. Cieszymy się więc, że znajdujemy fragment z „Trojanek” Seneki (nr 5—6) oraz jeden z dialogów greckiego satyryka-felietonisty, Lukiana (nr 8).

„Meander” przynosi poza tym wie-

le ciekawych szkiców i artykułów, które sięgają do wszystkich dziedzin kultury klasycznej oraz omawiają jej wpływ na kulturę współczesną. Wiele można się nauczyć z tego miesięcznika. Dlatego należy pragnąć, aby był on jak najszerzej rozpoznany. Stanie się to jednak dopiero wtedy, gdy zagadnienia tradycji klasycznej będą częściej niż dotąd trafiać na łamy tygodników literackich. Kilka miesięcy temu czytaliśmy w „Kuznicy” artykuł R. Matuszewskiego „O pojmowaniu tradycji klasycznej” (pisany na marginesie książki Jana Parandowskiego „Godzina Śródziemnomorska”). Cho-

ciaż nie możemy się zgodzić z wieloma jego twierdzeniami, to jednak jak najbardziej pozytywnie należy ocenić wezwanie do przewartościowania tradycji klasycznej, do spojrzenia na nią z nowego punktu widzenia i poddania jej próbie nowych czasów. O to przecież chodzi! Czy to nie cudowne, że Arystoteles, Homer, Horacy nie utracili nic ze swojej wielkiej i drapieżnej młodości, że nadal będziemy się o nich wściekle kłócić, że nadal są oni naszymi wspaniałymi sprzymierzeńcami albo groźnymi przeciwnikami! „Lęk przed walką — pisał Tadeusz Zieliński — nie jest dowodem siły”. Z. K.

## Czytelnik uważa, że...

Szanowna Redakcjo!

W nrze 6 (220) Waszego pisma ukazały się uwagi p. Z. Prószyńskiego pt. „Czy rekonstrukcja”. Autor polemizuje z wypowiedzią Pawła Jasienicy na temat katedry warszawskiej. Właściwie taka polemika odbywa się w próżni — dyskutanci psują papier — a katedra trwa.

Jeżeli więc chcę do niej dorzucić „swoje trzy grosze” — to uprzednio chciałbym ją zawiesić na jakimś realnym problemie. Chodzi o sam problem rekonstrukcji i problem XIX-wiecznego gotyku. Z rekonstrukcją słusznie rozprawił się Jasienica. Zresztą sprawa jest w większości przypadków jasna — albo zabytek na tyle stoi, że go można bez większej fantazji odbudować, albo przeszedł do wspomnień i niech się historycy sztuki męczą w rekonstruowaniu na podstawie materiałów ilustracyjnych. Z katedrą warszawską jest może nieco inna sprawa — i w tym wypadku słusznie „rekonstruuje” się od fundamentów. Nie mogę się jednak zgodzić na rozróżnienie Jasienicy w stosunku do zabytków świeckich i kościelnych. W stosunku do ich pierwotnego wyglądu zobowiązani jesteśmy zarówno w pierwszym jak i w drugim wypadku. Bo jeżeli rekonstrukcja, to całkowita, a jeżeli budowanie na nowo... to już zupełnie inna sprawa. Argument, że... „w jego (odbudowywanej katedry — przyp. mój) formach ma się wyrazić stosunek do Boga chrześcijan naszego pokolenia” — chyba moim zdaniem. Mamy przecież pewne zobowiązania wobec wiary naszych przodków, kiedy przywracamy do pierwotnego wyglądu budowlę wzniesioną przez nich. Inna rzecz, że sprawa komplikuje się przy katedrze św. Jana. Bo owych starych form mamy aż trzy. I tu drugi problem, który chciałbym poruszyć.

Z owych trzech kształtów katedry warszawskiej jeden odpada natychmiast. Jest to fasada katedry w okresie jej zbarokizowania. Znana nam z veduty Vogla — świadczy o niskim poziomie artystycznym barokowego „odnowiciela”. Do poważnej, ceglanej budowli książąt mazowieckich doczepiono jakieś woluty, jakieś rzeźby. Wszystko razem „nie trzymało się kupy”. Pozostają więc dwa gotyki — gotyk XV i gotyk XIX wieku. Nie jestem warszawianinem i nie patrzę na tę sprawę uczuciowo. Nie przekonywa mnie wiersz Or-Ota ani twierdzenie p. Prószyńskiego, że architekt XIX wieku „dał w swoim dziele świetnie odczułą syntezę gotyku”. Jakiego gotyku? Autor zapewne nie wie — no bo w każdym razie nie gotyku wieków średnich. Jeżeli jednak osobi-

ście przychyliłbym się raczej do Idzikowskiego właśnie — to dla dwóch względów. Po pierwsze nie wiemy zupełnie jak wyglądała katedra w XV wieku i rekonstrukcja zamienia się tu w zupełną fantazję historyka sztuki. Po drugie — warszawski architekt sprzed wieku nie stworzył wprawdzie „syntezę gotyku” ale stworzył dzieło bardzo oryginalne. Można by zarzucać... że katedra, że angielskie łuki Tudorów... ale w gruncie rzeczy wszystko to było zlepione dość indywidualnie i zupełnie nienajgorzej. Mam wrażenie, że pokutuje u nas jeszcze dość często fałszywa ocena neo-gotyku. Ocena z punktu widzenia historycznego — że nie był podobny do gotyku XIV i XV wieku. Budowlę przymierzano do kościoła Mariackiego lub do św. Jakuba w Toruniu i orzeka z pogardą — „architekt przeszczerpił obce zupełnie elementy gotyku angielskiego”. Moim zdaniem taka ocena jest fałszywa. To zupełnie tak samo — gdybyśmy renesans oceniali miarą jego podobieństwa do antyku (naturalnie zachowując skalę porównania). Neo-gotyki w swej pierwszej, romantycznej fazie (do której i Idzikowskiego należy zaliczyć) dał szereg dzieł bardzo udatnych. To całe szczęście, że gotyku wówczas nie rozumiano i tak dowolnie transponowano jego kształty. W przeciwnym bowiem razie powstałyby nieudolne kopie jakichś istniejących zabytków, a tak mamy szereg fantazji — nieraz dziwnych — na temat dawnej jeszcze niemal „barbarzyńskiej” i niezrozumiałej sztuki wieków średnich. Do szeregu tych ciekawych budowli, poczynającego się bodaj od wilanowskiego pawilonu gotyckiego, zalicza się wiele dzieł naprawdę interesujących i wartościowych. Sto lat już minęło — więc sądzę, że czas rehabilitować ten rozdział sztuki. Przecież barok też rehabilitowano po stu latach i odtąd żączywa on należną mu sławę.

Tyle o rekonstrukcji i katedrze, która nie zwracając uwagi na papierowe szmery rośnie i wkrótce — da Bóg — będzie służyła wiernym. Rozpisałem się bez miary — no, ale skoro się rozpisałem, to jeszcze jedną sprawę poruszę. W tym samym nr „Dziś i Jutro” zamieszczono uwagi p. A. Lępkowskiego — „Metafora na cenzurowanym”. W uwagach tych zawiera się żywa i barwna obrona metafory przed nieistniejącymi w tych rozmiarach w jakich widzi ich autor — wrogami tego pięknego chwytu poetyckiego. W rezultacie p. Lępkowski zajmuje pozycję ogólną. Pisze: „Nie wolno jej (metaforze) zapominać, że jest w poezji sposobem a nie celem i musi podporządkować się wartościom emocjonalnym, rytmicznym i estetycznym,

które narzuca poezja”. Jedno małe ale — nie tylko wartościom emocjonalnym, rytmicznym i estetycznym. Autor zapominał jeszcze o jednej dosyć ważnej sprawie — o treści utworu. Sądzę, że w poezji nie chodzi jedynie o „wizję plastyczną i muzyczną” o „przekazywanie wizji czytającemu”. Dajmy spokój tym wizjom. Przecież można bez tego wszystkiego — a wcale nie będzie gorzej. I doprawdy — po co zacieśniać poezję, która z natury rzeczy jest bardzo wszechstronna i bardzo skora do łamania ustanawianych co pewien czas reguł. Piszę to nie jako wróg metafory i nie jako zwolennik „publicystycznej poezji wypranej z poetyckości”, ale jako zwolennik równowagi treści i formy. Zwolennik zamykania w metrum spraw, dość nieraz ważnych, jakkolwiek i mnie Lichniak zwymyślał w swym artykule jako formalistę i piękno-ducha. Tadeusz Chrzanowski

### O MONOGRAFIE „GADZINÓWEK”

Słowa: „gadzinówka”, „szmatławiec” nie są obce dla tych wszystkich, którzy doświadczyli boleśnie okupacji hitlerowskiej. A kogoż ona w ten sposób nie dotknęła? Prawie wszystkich, z wyjątkiem garści kolaborantów, skoncentrowanych wokół kurierów, gońców, warszawiaków i krakauerów. Oni to jęli się pilnie roli „uświadamiaczy”, prasowych wizjonerów, kierowników nieistniejącej opinii publicznej, korzystając gorliwie z oręża pornografii, z płytkości myśli, aby tym łacniej móc ogłupiać i demoralizować czytelników. Zboczeńców tych spotkała już dawno zasłużona kara z rąk polskiej Temidy. W bibliotekach publicznych, jako dokumenty ich winy, jako niezbyt dowód „niewinnej” w swych rozmiarach kolaboracji, leżą na półkach z lekka już zakurzone roczniki owych „gadzinówek”. Nikt do nich nie zagląda, nikt ich nie wertuje, bo nie ma po co; a także nie chce może rozdrażniać zabliznionej już rany. A więc względy zupełnie zrozumiałe i drażliwe, atoli nie jest intencją mojej notatki ich dotykać.

A dotyczy to przede wszystkim socjologów prasy, prasoznawców, a poniekąd nawet historyków. Bo prasę „gadzinową” bez względu na jej niesławny żywot trzeba badać, zarówno pod kątem ujemnego oddziaływania społecznego jak z punktu ściśle prasologicznego (ciekawym zadaniem tu będzie ustalenie nakładu poszczególnych pism, scharakteryzowanie współpracowników i członków kolegiów redakcyjnych, oraz ocenienie ich niezdrowych podów „dziennikarskich”). Ze tego rodzaju badania nad „gadzinówkami” są pożądane, nie ulega wątpliwości. Dla socjologa będzie to sondowaniem wykołonej myśli społecznej garści kolaborantów, dla prasoznawcy — ustaleniem linii rozwojowej „gadzinówek”, dla historyka — rejeestracją faktu. Wyłania się zatem konieczność opracowania ich monografii, co najmniej z tych trzech punktów naukowego widzenia.

Zb. Len

